WESOŁYCH ŚWIĄT, ZDROWIA, POGODY, FERII NA MEDAL

życzy „Świat Młodych"

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 102/103 (2198/9) 22–26 grudnia 1972 r. Cena 1 zł

TYTUS, ROMEK i ATOMEK

TEKST I RYS. H. CHMIELEWSKI

16 STRON

„ALBATROS" — SZEF TEGO NUMERU — GORĄCO DZIŚ POLECA: ● ŚWIĄTECZNEGO RZEPA NA CAŁĄ STRONĘ! ● RANDKĘ Z DUCHAMI W ZAMKU PĄSOWEJ RÓŻY ● AFRYKAŃSKĄ GRĘ W WARI ● SZALONE WYPRAWY: BOJEREM PO PUSTYNI I PIROGĄ PO AMAZONII ● ZIMĘ ZE „ŚWIATEM MŁODYCH" ● SPECJALNE PODCHOINKOWE „BLIŹNIĘTA" ● Z ANDRZEJEM KMICICEM SPOTKANIE NA PLANIE ● TAJEMNICE POCZTOWEGO KODU ● CYRKOWĄ WĘDRÓWKĘ Z RODZINĄ NIEMECZKÓW ● SŁOWO HONORU (II ODCINEK) ● ORAZ INNE CIEKAWE POZYCJE TEGO PODWÓJNEGO NUMERU WASZEJ GAZETY NA GWIAZDKĘ 72

POLSKI SYSTEM POCZTOWYCH NUMERÓW ADRESOWYCH

Terytorium państwa podzielono na **10 okręgów** obejmujących jedno albo dwa województwa. Każdy okręg podzielony jest na **10 stref**, a każda strefa na **10 sektorów**. W każdym sektorze jest **100 obszarów**, w których mieszkają adresaci przesyłek. W miastach wojewódzkich obszary te nazywają się **jednostkami doręczeniowymi**, a w pozostałych miejscowościach jest to teren obsługiwany przez jedną **placówkę pocztową** (urząd, agencję).

Wszystkie te obszary rozdzielcze, zwane kodowymi, oznaczono pięciocyfrowym symbolem cyfrowym. **Pierwsza cyfra oznacza okręg pocztowy, druga — strefę, trzecia — sektor, czwarta i piąta — placówkę pocztową, a w miastach wojewódzkich ulicę lub ich część.**

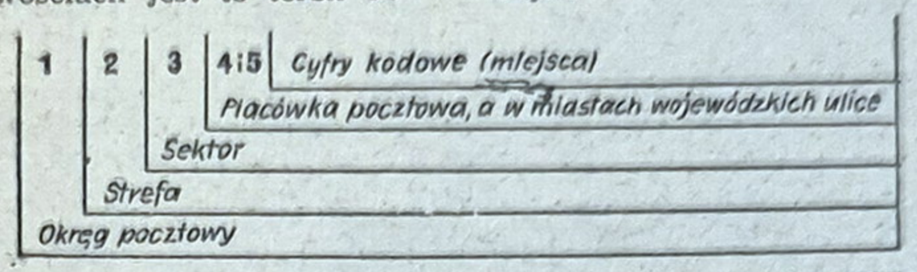

SCHEMAT GRAFICZNY SYSTEMU POCZTOWYCH NUMEROW ADRESOWYCH.

OD 1 STYCZNIA 1973 TAK NALEŻY ADRESOWAĆ WSZYSTKIE LISTY DO REDAKCJI

JAK TO JEST DZIŚ?

W ostatnich siedemdziesięciu latach liczba usług pocztowych wzrosła **dziesięciokrotnie.** Obecnie nasza poczta przekazuje **codziennie** około **6,5 miliona** przesyłek, a więc ponad **2 miliardy rocznie.** Rosną więc trudności, których główną przyczyną jest dotychczasowa forma adresu.

W systemie pracy ręcznej pracownik przygotowujący przesyłki do transportu musi

— wyszukać w informacjach adresowych nazwę siedziby placówki mającej doręczyć przesyłkę,

— ustalić drogę, którą przesyłka powinna być kierowana do dalszego transportu,

— włączyć opracowaną przesyłkę do odpowiedniej grupy podziału, zgodnie z kierunkiem jej przesyłania.

Ponieważ dotychczasowy adres nie zawiera informacji o **drodze do urzędu doręczającego,** opracowujący przesyłkę musi ustalać je z pamięci albo na podstawie dodatkowych urzędowych spisów adresowych. Jest to praca ogromna, bo liczba placówek pocztowych znacznie przekracza 7000, a przesyłki od miejsca nadania do miejsca przeznaczenia rozdzielane są (grupowane według różnych układów) średnio **pięć razy, a bywa że i dziesięć!**

Polska jest dziewiętnastym z kolei państwem na świecie, które wprowadza znacznie upraszczający procedurę doręczania **publiczny kod pocztowy,** zwany inaczej systemem **pocztowych numerów adresowych. Istnieje on już w następujących krajach:** Australia, Austria, Belgia, Dania, Filipiny, Finlandia, Holandia Japonia, Jugosławia, Kanada, NRD, NRF, Szwajcaria, Szwecja, USA, Wielka Brytania, Włochy i ZSRR. Przygotowują się do wprowadzenia pocztowych numerów adresowych, Czechosłowacja, Rumunia i Węgry.

BĘDZIEMY MIELI NOWOCZESNĄ POCZTĘ!

- OD 1 STYCZNIA — NOWY SPOSÓB ADRESOWANIA!
- PRZECZYTAJ UWAŻNIE, ZACHOWAJ, POKAŻ INNYM!
- I TY MOŻESZ BYĆ INSTRUKTOREM PUBLICZNEGO KODU POCZTOWEGO!

Rozwój życia gospodarczego, społecznego i politycznego kraju, będący wynikiem stałego postępu nauki, techniki i rosnących potrzeb obywateli, wymaga gruntownych zmian i ulepszeń również w systemie działania poczty. Poczta jest bowiem instytucją, bez której nie można sobie dziś wyobrazić prawidłowego i sprawnego działania żadnej dziedziny życia...

JAK ZDOBYĆ POTRZEBNE NUMERY KODU?

1. Poczta roześle **ulotki** (10 milionów egz.) oraz umieści w miejscach publicznych **wywieszki** zawierające pocztowe numery adresowe, jakimi powinny być oznaczane przesyłki pocztowe, nadchodzące do mieszkańców danego obszaru (domu).

2. Został wydany ogólnopolski **„Spis pocztowych oznaczeń kodowych"** (700.000 egz.) zawierający numery adresowe **wszystkich** placówek pocztowych i jednostek doręczeniowych. Będzie on **do nabycia na każdej poczcie** (cena 15 zł) albo **do wglądu** (jak książka telefoniczna) we **wszystkich jednostkach pocztowych oraz kioskach, sklepach i klubach „Ruchu".**

3. Ponadto potrzebne informacje będzie można uzyskać **bezpośrednio** lub **telefonicznie w każdej placówce pocztowej.**

4. Własny pocztowy numer adresowy trzeba **koniecznie** podawać **przy adresie zwrotnym nadawcy na każdej przesyłce.** Umożliwi to odbiorcom przesyłki zapoznanie się z nim i ułatwi jej zwrot w przypadku nie zastania adresata.

5. W korespondencjach od 1 stycznia 1973 roku trzeba również prosić osoby i instytucje, do których piszemy, o podanie ich pocztowego numeru adresowego. Przypomni im to o tym **obowiązku** i przyspieszy wymianę numerów między zainteresowanymi korespondentami.

UWAGA: Bardzo ważną rzeczą jest, żeby do nowego systemu adresowania dostosowali się WSZYSCY. Listy opatrzone pocztowym numerem adresowym będą rozdzielane w PIERWSZEJ KOLEJNOŚCI i doręczane adresatowi NASTĘPNEGO DNIA, nie później niż w ciągu 24 godzin, a abonenci skrytek i przegródek w miastach wojewódzkich i częściowo powiatowych będą mogli otrzymywać większość korespondecji w 8—12 godzin od chwili wyjęcia jej ze skrzynek lub nadania w okienku.

Opracował:
WACŁAW BISKO

JAK ADRESOWAĆ?

Nowy układ wymaga **zmiany układu adresu każdej przesyłki pocztowej,** a więc nie tylko na listach, ale i na przekazach pocztowych, paczkach itp. Układ ten jest zgodny z praktyką stosowaną w skali ogólnoświatowej.

A więc:

NAJPIERW piszemy nazwę instytucji lub imię i nazwisko adresata,

POD SPODEM — nazwę wsi, przysiółka i nr domu, albo ulicę, nr domu i nr mieszkania,

JESZCZE NIŻEJ — podkreśloną nazwę poczty.

Z LEWEJ STRONY NAZWY POCZTY wpisujemy **POCZTOWY NUMER ADRESOWY** w dwu grupach oddzielonych kreską: **PIERWSZE DWIE CYFRY — kreska — POZOSTAŁE TRZY CYFRY.**

Taki zapis zwiększy szybkość opracowywania przesyłek i ułatwi wprowadzenie automatów do ich rozdziału.

W adresie zwrotnym należy również **koniecznie** podać własny pocztowy numer adresowy!

WZÓR PRAWIDŁOWEGO ADRESU

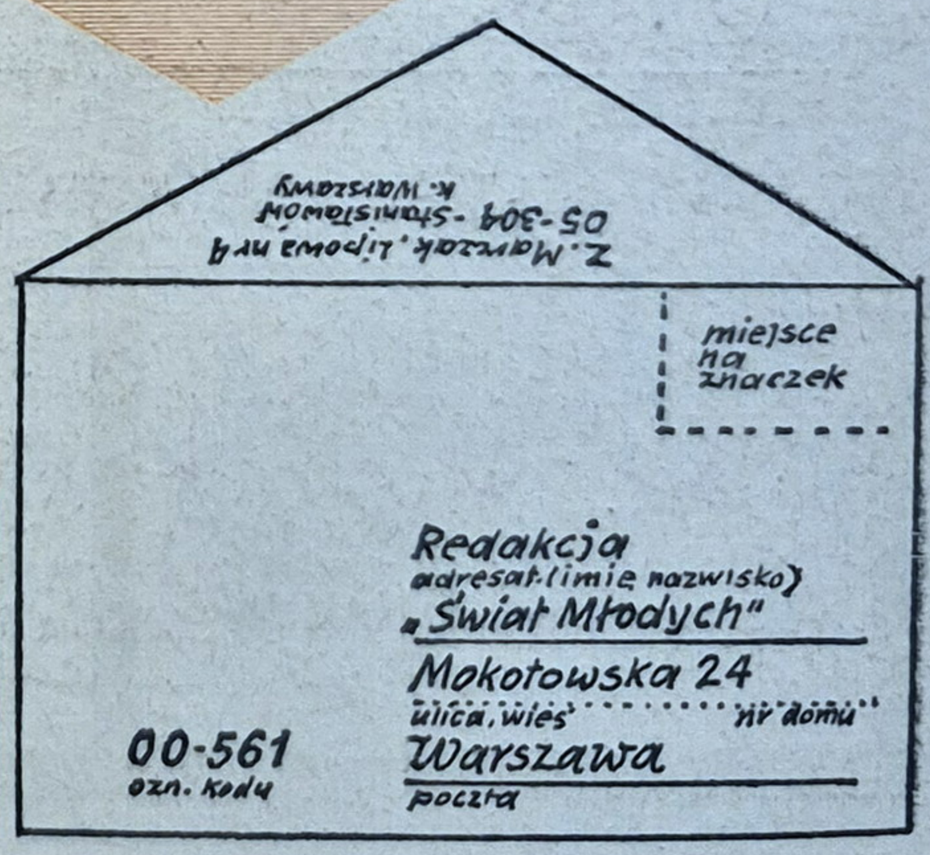

I TY MOŻESZ BYĆ INFORMATOREM

Na podstawie doświadczeń innych krajów można przewidywać, że listy, przekazy itp. będą dochodziły do adresata na drugi dzień, jeżeli co najmniej 90 procent nadawanych przesyłek będzie miało pocztowe numery adresowe.

Wszyscy chcielibyśmy, żeby dokonało się to jak najszybciej, ale też OD NAS SAMYCH TO ZALEŻY.

- **Zastosuj się więc natychmiast do wskazówek zawartych na tej stronicy!**
- **Daj ją do przeczytania rodzicom, kolegom, sąsiadom!**
- **Poproś nauczyciela, żeby poświęcił lekcję wychowania obywatelskiego na ten temat!**
- **Spróbuj w drużynie albo zastępie poświęcić temu zagadnieniu zbiórkę!**
- **Zgłoś się na pocztę do pomocy przy roznoszeniu ulotek i rozplakatowywaniu wywieszek!**
- **Przekonuj kolegów o konieczności stosowania pocztowych numerów adresowych!**
- **Umieszczaj numer przy adresie zwrotnym każdej swojej przesyłki!**

NAJWAŻNIEJSZA OZDOBA CHOINKI

Pewna dziewczynka miała dziwny sen. Słyszała starą legendę ludową, że w noc wigilijną zwierzęta mówią ludzkim głosem Dlatego chyba przyśniło się jej, że choinkowe ozdoby, z których wiele wykonała sama, zaczęły między sobą rozmawiać na temat swojej ważności i strojności.

Jedne błyskotliwie wywodziły, że to one dodają największego uroku choince, bo w nich odbija się cały choinkowy świat, inne twierdziły, że są najmilej widziane, bo są jadalne i słodkie, jeszcze inne dowodziły, że one są najważniejsze, bo umieszczone najwyżej zajmują najważniejsze stanowiska. Wynikł z tego gwar i swar, który przerodził się w hałaśliwą kłótnię.

Milczały tylko choinkowe światła, bo były wygaszone i nie miały się czym pochwalić. Wtedy właśnie odezwał się stary, sfatygowany papierowy szpak, co to na niejednej choince bywał, a raz niemal cudem został uratowany z płonącego drzewka.

„Najważniejsze — powiedział — są — moim zdaniem choinkowe światła, i to zarówno nastrojowe świeczki, jak i nowoczesne żarówki elektryczne. Wy — rzekł do skłóconych ozdób — istniejecie same dla siebie, nic nie robiąc, a światła istnieją dla was wszystkich, pracują dla was, ukazując nawet tych, co mieszkają gdzieś od ściany albo na samym dole choinkowych gałęzi. Światła dodają wam uroku i blasku. Toteż mają one szczególne prawa. Nimi właśnie trzeba się najbardziej opiekować. Umieścić tak, żeby płomyk świeczki nie zagrażał najbliższemu otoczeniu, zbadać przewody żarówek, żeby nie było zwarcia i wygaszać je, kiedy wszyscy udają się na spoczynek albo wychodzą z domu, bo i one muszą odpocząć. Smutna to rzecz, kiedy choinka staje w płomieniach, a z nią nieraz całe mieszkanie. Święta przestają wtedy być świętami, a radość przeradza się w smutek".

Dziewczynka zgodziła się z mądrym zdaniem szpaka i tak jak zrobiła wszystko, żeby choinka była najstrojniejsza, przez cały czas pobytu drzewka w domu szczególnie dbała o światła. Zależało jej na tym, żeby były widoczne przez okno, żeby odbijały się barwnie i wesoło w oczach, w choinkowych bańkach, ale nie w hełmach strażackich.

Opowiadam wam dziś o tym, bo nie każdemu może się taki sen zdarzyć, a jest to jeden z nielicznych snów, które sprawdzają się w życiu. Wesołych i spokojnych świąt przy blasku choinki!

MIKOŁAJ PALIWODA

ODZNACZENIA POŻYCZONE OD... WIELBŁĄDA

Jak doniósł z Kałmucji dziennik „Sowietskaja Rossija", miejscowy teatr miał kłopot ze zdobyciem hitlerowskich odznaczeń, które potrzebne były do przygotowywanej sztuki.

Wówczas ktoś sobie przypomniał, że podczas drugiej wojny światowej pochodzący z tych stron żołnierze Armii Czerwonej zdobyte hitlerowskie medale i ordery zawieszali na szyjach... wielbłądom, których sporo znajdowało się w taborach. W dniu zwycięstwa, 9 maja 1945 roku, garbate czworonogi weszły do Berlina obwieszone tymi trofeami. Wśród nich znajdował się wielbłąd „Wołodka" z kałmuckiej osady Chułchuta.

Okazało się jednak że „Wołodka" zaraz po wojnie został podarowany warszawskiemu ogrodowi zoologicznemu. Jego „kolekcja" w postaci przeszło 30 „ritter-kreuzów" i innych odznaczeń trafiła jednak uprzednio do muzeum etnograficznego w kałmuckim mieście Eliście. Stąd też miejscowy teatr wypożyczył eksponaty do wystawianej sztuki. (jk)

Bojtem przez PUSTYNIĘ

11 grudnia siedmiu śmiałków wystartowało do niezwykłego rajdu — na kołowych bojerach przez Saharę. Fantastyczna próba pokonania pustyni przez międzynarodową grupę bojerowców wywołała zrozumiałe zainteresowanie nie tylko wśród sympatyków sportu. W rzeczywistości bowiem jest to przedsięwzięcie daleko przekraczające ramy sportu żeglarskiego.

Wielki rajd przez Saharę odbywa się w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych i terenowych. Trasa prowadzi przez wyżynną pustynię kamienistą, a na dystansie około 300 km rajdowcy napotkają piaski. W imprezie tej bierze udział reprezentant Polski Romuald Rowecki z Poznania, inżynier elektryk, sternik bojerowy, mistrz Polski w 1968 r., ósmy na mistrzostwach Europy w tej dziedzinie sportu. Obok inż. Roweckiego w rajdzie uczestniczy dwóch Holendrów, dwóch przedstawicieli NRF, jeden Amerykanin i jeden Kanadyjczyk. Start tego gigantycznego, bo liczącego aż 2500 km rajdu, biegnącego przez całą Saharę Zachodnią odbył się w algierskim mieście Tin Douf, a meta znajduje się w Nouakchott, w Mauretanii, nad Oceanem Atlantyckim. Zawodnicy mają się tu zameldować około 11 stycznia 1973 r.

Pojazdy dzielnych zawodników posiadają trzy bądź cztery koła, pojemny kadłub wyposażony w radiotelefon, urządzenia nawigacyjne, kompasy. Oczywiście w skład ekwipunku wchodzi także namiot, wyposażenie turystyczne, zapasy żywności i wody, a także mapy. Każdy z uczestników będzie przemierzał Saharę samodzielnie. Rajd jest imprezą bardzo trudną i już zyskał przydomek „bojerowego safari". (jk)

Inż. Romuald Rowecki — uczestnik rajdu bojerowego przez Saharę.

Reprezentant Polski startuje na trzykołowym bojerze.
Foto: CAF

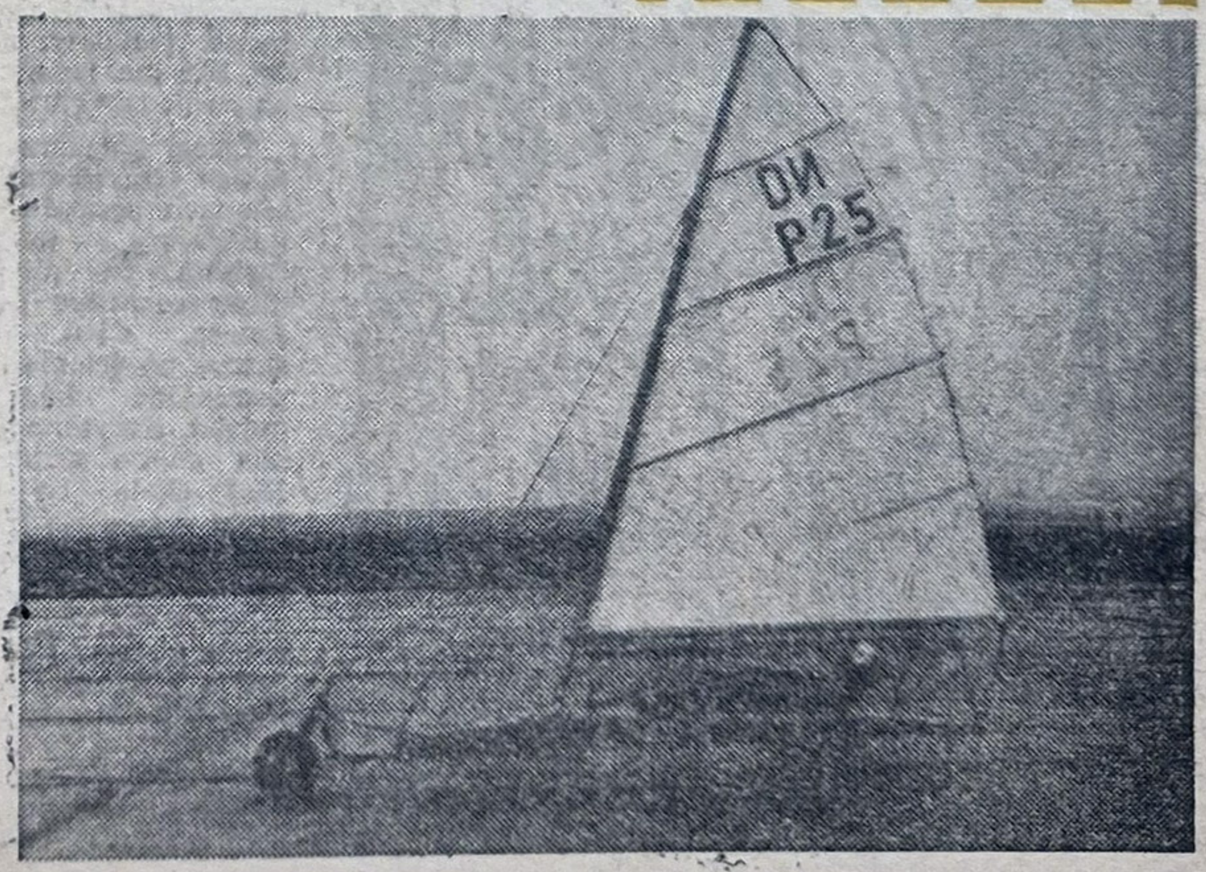

Mimo wczesnej pory jest niemal zupełnie ciemno. Wąska droga obrzeżona wysokimi drzewami, które wichura wprawia w niesamowity taniec nie należy do dróg wysokiej klasy. Nagle, gdy niespodziewanie wypadamy z ostrego zakrętu, dostrzegamy szeroki, świeżo wykopany w poprzek drogi rów. Obydwiema rękoma chwytam siedzenie fotelika, a stopami zapieram się mocno o ścianę autobusu. Suchy trzask. Pisk hamulców. Kierowca kręci głową:

— Udało nam się — mówi. — Ale dalej nie pojedziemy...

Moi współtowarzysze podróży, a jest ich ponad dwudziestu, dopiero teraz spostrzegli grożące przed chwilą niebezpieczeństwo. Wylegli z autobusu i nie zważając na szalejący wicher komentują wypadek.

Nie pozostaje nam nic innego, jak pójść całą gromadą do wznoszącego się opodal zamczyska, otoczonego wysokim murem. Kierowca twierdzi, że bastion jest zamieszkały i w tej okolicy tylko tam można znaleźć schronienie.

Naciągam na głowę kaptur i szczelnie zapinam kurtkę. Zimny wiatr wieje od morza, które huczy gdzieś za ścianą lasu rozbijając się o skalisty brzeg. Ruszamy.

Fosa, mostek, łuk kamiennej bramy. Posępne mury. Ogromny dziedziniec i rozjarzone światłem okna parteru. Pewnie mają gości albo obchodzą jakieś rodzinne święto.

Drzwi otwiera wyniosły kamerdyner w barwnej obszywanej złotymi sznurami liberii. Prosi do hallu. Tu zjawia się sam właściciel. Jest nim chudy człowiek wciśnięty w czarny ni to frak, ni to smoking. Długa szyja opięta sztywnym kołnierzykiem sprawia, że jego głowa przypomina głowę ptaka. Koścista twarz, wąskie usta, białe włosy i oczy jasnoniebieskie, zimne. Prześlizguje się po nas ich nieprzyjemne, badające spojrzenie.

— Dziennikarze? Hm... Z różnych krajów Europy. Hm... — Powtarza za opiekunem naszej grupy, niemal zupełnie nie poruszając wargami. — Mamy tu pokój gościnny, w którym się wszyscy panowie pomieszczą...

Jestem w spodniach. Na głowie mam kaptur, który ściągam dopiero teraz. Przedstawiam się i pytam, czy i dla mnie znajdzie się w tym zamku jakieś miejsce.

Na jeden krótki moment spojrzenia pana i sługi krzyżują się. Jestem pewna, że dostrzegam ruch palców chudzielca, ruch, który równie dobrze może być przyzwoleniem jak i wyrokiem.

— Polka. Hm... Polki słyną z odwagi. Hm — cedzi ni w pięć ni w dziewięć.

TAJEMNICZA KOMNATA

Nie zastanawiam się nad sensem wypowiedzianych słów, bowiem sługa w kolorowej liberii wyciągnął właśnie z kandelabra woskową świecę, skinął w moim kierunku głową i ruszył w stronę drzwi. Wtedy dopiero zauważyłam, że w hallu oprócz elektrycznego żyrandola spływającego z sufitu tysiącem kryształów, w każdej niszy stoją mosiężne kandelabry pełne płonących świec.

Pierwszy korytarz, którym podążam tuż za moim przewodnikiem jest pięknie oświetlony, następny nieco mniej. I pierwszy i drugi stanowią istne muzeum starej broni. Na ścianach wiszą halabardy, miecze, szable, sztylety, kusze, pistolety, strzelby. Nie ma jednak czasu na podziwianie...

Trzeci korytarz pełen takich samych ozdób na ścianach sprawia przygnębiające wrażenie. Światła tu nie ma. Mrok rozjaśnia jedynie świeca. Cień lokaja skacze po ścianie, przypominając kosmatego pająka. Korytarz ten został chyba wykuty w litej skale, bo nasze kroki wywołują zwielokrotnione echo. Najwyraźniej czuję, mimo iż schodów tu nie ma, że ciągle idziemy pod górę. Jeden zakręt, drugi. Przy trzecim ściągam ze ściany nóż o szerokim ostrzu, który natychmiast ginie w przepaścistej kieszeni mojej kurtki. Rano powieszę go w tym samym miejscu, ale teraz... Teraz po prostu ogarniają mnie niedobre przeczucia...

Przed nami ciężkie, okute żelazem drzwi. Zgrzyt zamka, pisk zawiasów i oto jesteśmy w półokrągłej salce. Przewodnik stawia na stole świeczkę, kłania się w moim kierunku i bez słowa wychodzi. Natychmiast dopadam drzwi, by wypróbować działanie potężnej zasuwy. Dopiero potem rozglądam się po mojej sypialni. Głównym jej akcentem jest śmieszne, drewniane łoże. Na deskach ślady farby, musi być bardzo stare. Ale pościel jest nowa i czysta.

Prosty, drewniany stół. Cynowa miska, takiż kubek.

Uchylam okienko. Żeby wyjrzeć, muszę położyć się w kamiennej niszy. A więc jestem w wieży. U jej podnóża, daleko w dole pieni się wzburzone morze. Zamykam okno, a że czuć tu stęchlizną, uchylam nad nim coś niby lufcik. Gaśnie świeczka. Nim zasnę, zdjęty ze ściany nóż kładę tak, aby móc sięgnąć po niego w każdej chwili.

TAJEMNICA ZAMKOWEJ WIEŻY

W samym środku nocy budzą mnie kroki na korytarzu. Zgrzyt zasuwy. Pisk zawiasów. Otwieram oczy. Komnata tonie w księżycowej poświacie. Wyraźnie słyszę kroki, ale nikogo nie widzę!

Może to gdzieś wyżej. Prawa akustyki działają czasem wręcz niewiarygodnie — próbuję sobie wytłumaczyć te niepokojące dźwięki. A jednak wyraźnie czuję, że oprócz mnie ktoś się tu jednak znajduje!

Na wszelki wypadek ściskam w dłoni rękojeść noża. Nagle moje spojrzenie pada na okno... I oto dostrzegam za szybą jakąś postać! Mężczyzna, widzę to bardzo wyraźnie, ma nad lewą brwią szerokie znamię. Jedną ręką opiera się o gzyms, a drugą, w której coś trzyma, sięga do otwartego lufcika! Nie mogę krzyknąć, bo z zaciśniętej krtani nie wydobywa się głos. Z całą jasnością zdaję sobie sprawę, że zwyczajny człowiek nie byłby w stanie wdrapać się tu po gładkiej zupełnie ścianie! A on za moment stanie na gzymsie i wejdzie do środka! Nie zastanawiając się wiele rzucam nożem w stronę okna. Jednocześnie widzę jakby błysk drugiego ostrza! Brzęk szkła! Krzyk! Zapada ciemność. Postać za oknem znika. I nie wiem, czy to wszystko działo się naprawdę, czy tylko mi się śniło?

Kiedy wstaję o świcie, stwierdzam, że mój nóż tkwi wbity w framugę okna, szyba natomiast jest nietknięta, ale na gzymsie od wewnątrz leży świeża, pąsowa róża... A jednak coś się tu działo tej nocy.

Nim kierowca załatwi pomoc techniczną dla autobusu, podążamy do pobliskiej oberży na śniadanie. Różę przypięłam do kołnierza kurtki, bo obie ręce mam zajęte bagażem.

Długie, proste stoły, ławy kryte skórą, zapach starego wina. Nagle za szynkwasem dostrzegam

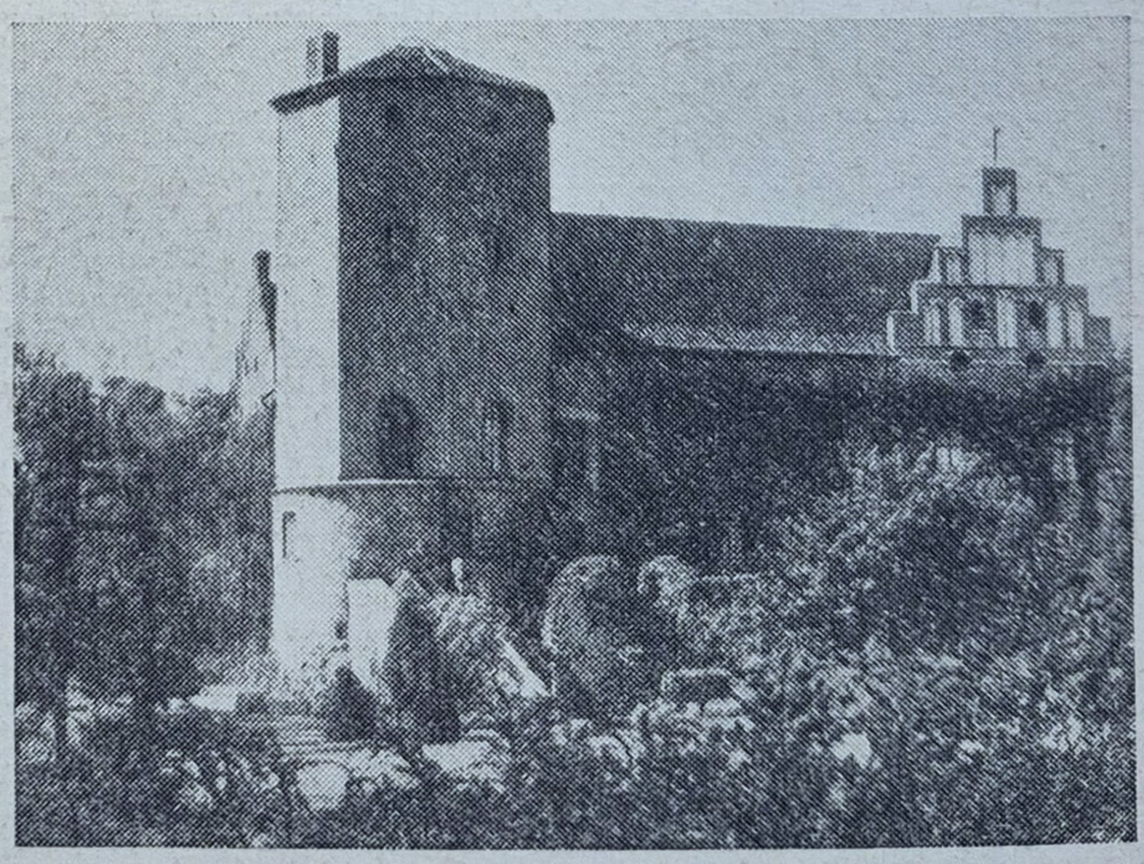

To jest właśnie zamek pąsowej róży. Tajemnicza wieża jest niewidoczna, przesłania ją ta prostokątna na pierwszym planie.

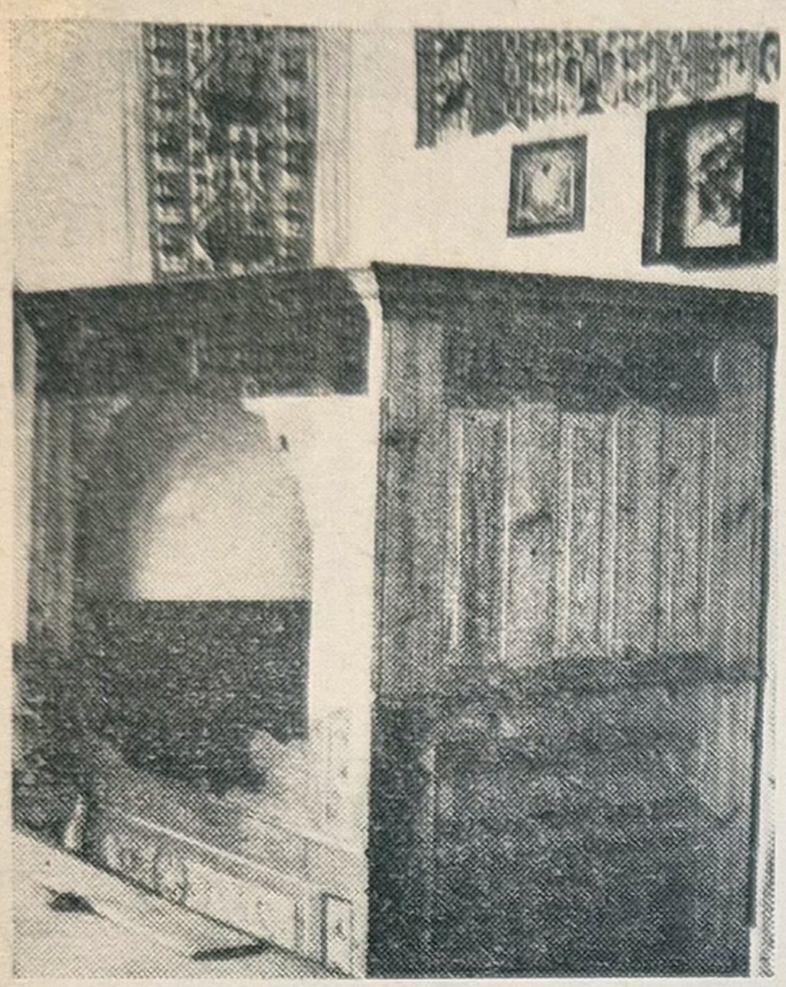

Drewniane łoże stanowiło poza stołem główny mebel okrągłej komnaty.

oberżystę. Na jego czole, nad lewą brwią widnieje ciemne charakterystyczne znamię!

— A więc to pan napędził mi tyle strachu! — mówię nieco podniesionym głosem, bo oto zidentyfikowałam nocnego gościa. — Jak pan tam wszedł? Od okna do podnóża skał jest przecież kilkadziesiąt metrów prostej ściany!

— Skąd pani ma tę różę? — oberżysta na pytanie odpowiada pytaniem. — Te róże rosną tylko w naszej oranżerii...

— Pani spała w wieży? Tej właśnie nocy? No tak — odpowiada sobie. Ten podlec niczym nie różni się od swoich przodków!

Oberżysta każe na śniadanie podać wszystkim wino na swój koszt. Przysiada się do naszego stołu i oto słyszymy przedziwną opowieść.

OPOWIEŚĆ OBERŻYSTY

Okazuje się, że w zamierzchłej przeszłości również stała w tym samym miejscu oberża, a jej właściciel, przodek obecnego gospodarza, dostarczał na zamek piwo i inne specjały, nierzadko pochodzące z przemytu. Wszystko byłoby dobrze, ale oberżyście wpadła w oko i w serce córka zamkowego pana. Młodzi widząc, że rodzice dziewczyny nie zgodzą się na ślub, zawarli go w tajemnicy. Po jakimś czasie sprawa się wydała. Córkę, która spodziewała się dziecka, ojciec zamknął w wieży, zamurowując uprzednio wszystkie okienka poza jednym — wychodzącym na morze. Oberżysta uniknął zemsty rozgniewanego pana, zaciągając się na jeden z okrętów. Ale kiedy statek zawijał do portu w pobliżu zamczyska i kiedy morze i noc sprzyjały tajemnym wyprawom, oberżysta-marynarz łódeczką pokonywał wodną przestrzeń i sobie tylko znanym sposobem wbijał w kamienne mury wieży klamry i haki. Pewnej nocy, nie bacząc iż jest pełnia księżyca, dotarł do samego okienka. Już opierał się jedną ręką na gzymsie, a drugą rzucał czerwoną różę, gdy wtem do wieży wpadł ojciec dziewczyny, widać uprzedzony przez strażników o nocnej wizycie. Rzucony wprawną ręką starego nóż trafił w czoło nad lewą brwią. Od tamtej pory wszyscy męscy potomkowie rodu oberżystów mają identyczne szramy, a w każdą rocznicę tamtego zdarzenia, kiedy jest księżycowa pełnia, oberżysta-marynarz wspina się po klamrach, które już nie istnieją, opiera się dłonią na gzymsie i wrzuca do komnaty pąsową różę. Każdej takiej nocy do komnaty wpada starzec i rzuca nożem w intruza. I tak przez wieki...

Cała ta historia wydarzyła się w jednym z zamków północnej Europy. Ja sama dziś jestem niemal pewna, że mi się to po prostu śniło. Tylko nie mogę zrozumieć, skąd się wzięła owa niezwykłej piękności pąsowa róża, którą znalazłam na gzymsie...

TEKST I ZDJĘCIA — **WIESŁAWA MROCZEK**

Rys. M. Teodorczyk

Skąd się wzięły święta?

Na dworze śnieg, w domach przystrojone odświętnie choinki i jakaś inna niż w powszednie dni atmosfera. W ten świąteczny czas odwiedzamy jedno z mieszkań przy ul. Szarej w Warszawie. Mieszka w nim **prof. Anna Kutrzeba-Pojnarowa.** Pani Anna jest etnografem, pracuje na Uniwersytecie Warszawskim, jest członkiem Polskiej Akademii Nauk.

W pokoju, w którym rozmawiamy, panuje półmrok, za oknem grudniowy wieczór. My zaś w wygodnych, głębokich fotelach rozmawiamy o ludowych obrzędach.

— Etnografia — mówi pani Anna — to, tłumacząc najprościej, ludoznawstwo, czyli nauka o życiu, obyczajach i kulturze różnych ludów. Dlatego też chyba właśnie etnograf może o Bożym Narodzeniu, Nowym Roku i obrzędach związanych z tymi świętami opowiedzieć najdokładniej. Ale będziemy musieli zacząć — jak to często bywa — od starożytności...

Saturnalia

Barwne podania i legendy, oplatające uroczystość Bożego Narodzenia, w niewielkiej tylko części mają pochodzenie wyraźnie rzymskie, bowiem olbrzymia większość sięga czasów znacznie dawniejszych

i zdaje się świadczyć o jakichś starożytnych obchodach na cześć natury. W noc wigilijną — jak głosi legenda — zwierzęta i ptaki mówią ludzkim głosem, pszczoły z brzękiem budzą się ze snu zimowego, rośliny i drzewa rozkwitają po raz wtóry pod śniegiem i nawet wydają owoce, zakwita również paproć, woda w rzekach i źródłach zmienia się na chwilę w miód, wino albo płynne złoto, itd. itd. Aby jednak wyjaśnić, skąd te starożytne wierzenia wzięły się w obrzędach chrześcijańskich, trzeba udać się aż do starożytnego Rzymu...

W Rzymie bowiem w tym samym czasie, kiedy u nas świętuje się Boże Narodzenie, obchodzono Święto Saturna, boga siewców jesiennych, którego utożsamiano później z greckim Kronosem, królem i władcą wieku dostatku, równości i swobody powszechnej. Święto to, obchodzone pierwotnie 17 grudnia, zostało później rozszerzone do całego tygodnia i połączyło się w końcu z rzymską uroczystością noworoczną, święconą 1 stycznia i zwaną „Kalendae Januarie", skąd wziął się zresztą nasz wyraz „kolęda". Był to dzień wróżb, życzeń i darów wzajemnych, zapowiadających lub symbolizujących przyszły urodzaj, dostatek i szczęśliwość. Za czasów cesarstwa następowała zaraz po nim (3 stycznia) uroczystość, zwana „Vota", tj. dzień ślubów za zdrowie i pomyślność monarchy i nosząca ten sam wesoły, zabawowy charakter.

Temu świętu Kościół przeciwstawił Boże Narodzenie, Nowy Rok i Trzech Króli, przenosząc pierwszą z uroczystości na 25 grudnia. W III w. naszej ery oficjalny kalendarz Rzymu świętował w tym dniu „urodziny niezwyciężonego Słońca", jak nazywano jednego z bogów greckich, pokrewnego perskiemu Mitrasowi, i Kościół chciał zastąpić go dniem na cześć „Słońca sprawiedliwości", jak nazywano z kolei Chrystusa. Kto więc zestawi teraz te dwa fakty, ten łatwo zrozumie, że przy takim jednoczesnym istnieniu różnych uroczystości nieuniknione było przenoszenie pewnych zwyczajów i obrzędów ludowych i że nasze święta stały się w znacznej mierze spadkobiercami starożytnej uroczystości ku czci Saturna.

To, że nasze Boże Narodzenie i Nowy Rok sięgają swoimi korzeniami aż do starożytności, udowadnia nam choćby wspomniane już słowo „kolęda", dzisiaj oznaczające tylko świąteczne pieśni, dawniej jednak określające także świąteczne podarunki czy same święta. Ale nie tylko kolęda jest dowodem starożytności naszych świąt. Świadczy o tym także szereg zwyczajów i obrzędów ludowych jak np.: niezbędna w wielu krajach europejskich na wigilijnym stole... świńska głowa, świnina lub pieczywo w formie świni, czy też zwyczaj obierania króla lub królowej balu, co jest przecież echem rzymskiej tradycji, kiedy to w czas największych uciech wybierany był zawsze król Saturnaliów. Świadczy o tych naszych związkach ze starożytnością także bezkarność psot i figlów w domu — wierne odbicie dozwolonej swawoli saturnalijskiej.

Echo święta zmarłych?

Święta Bożego Narodzenia są na przemian wesołe i smutne. Wiele w nich uciech, ale i wiele zadumy. Uciechy pochodzą od starożytnych, zadu-

ma zaś bierze się najpewniej z prastarego kultu dusz, czyli obchodzonego ongiś w tym czasie święta zmarłych. Badając charakter świąt Bożego Narodzenia w krajach ludów europejskich Witold Klinger, polski etnograf, ustalił, że to prastare święto zmarłych obejmowało zazwyczaj cały czas od Wigilii Bożego Narodzenia aż do Trzech Króli.

W tym czasie rodziny „wywoływały" zmarłych z mogił, a następnie „podejmowały" ich gościnnie. Rozkładano wtedy koło ogniska naczynia napełnione jedzeniem, nakrywano osobny stół, wystawiano dla spoczynku puste krzesła, a nawet łóżka, podczas gdy rodzina gospodarza spała na ziemi, albo czuwała przy ogniu.

Podczas rzekomego pobytu zmarłych w domu obowiązywał absolutny spokój. Nie wolno było głośniej rozmawiać, rąbać drew, wić sznurów ani też prząść.

Z czasem obrzęd goszczenia zmarłych uległ przeobrażeniu i dzisiaj występuje już w innej postaci. Zamiast przodków zapraszane bywają do wieczerzy wigilijnej... zwierzęta.

Świąteczne wróżby

Do dzisiaj powszechny jest np. zwyczaj, że przez 12 dni dzielących Boże Narodzenie od Trzech Króli obserwuje się jaka jest pogoda. Każdy dzień odpowiada, według swej kolejności, jednemu miesiącowi w roku. Jaka pogoda jest w danym dniu, taki będzie odpowiadający mu miesiąc. Również obserwuje się noce. Jeśli np. dzień był pogodny, a w nocy padał deszcz — pierwsza połowa miesiąca będzie ładna, pogodna, a druga brzydka. Jeżeli w Wigilię rano zauważyć można na dworze szron, daje to powód do radości, bo rok będzie urodzajny. Albo: jeśli w wieczór wigilijny niebo jest wygwieżdżone, to znak, że kury będą dobrze niosły.

A więc chrześcijańskie święto Bożego Narodzenia to zlepek wielu różnych tradycji. Kościół dodał tylko do niego takie obrzędy jak dzielenie się opłatkiem, chodzenie z gwiazdą, jasełka. Dodał również pieśni, które zachowały jednak starożytną nazwę — kolędy.

Warto o tym wszystkim wiedzieć, bo wtedy to nasze współczesne świętowanie nabiera jakby innego wymiaru. Ja przynajmniej czuję się trochę starożytnie...

Notował: W. PIELECKI

Rys. M. Kościelniak

W KRĘGU CYRKOWEJ ARENY

Rankiem w miasteczku zawrzało! Na rynku wznosiła się potężna brezentowa kopuła wybudowana w ciągu ubiegłej nocy, otoczona wozami, których okienka zasłonięte szczelnie barwnymi firaneczkami, dziwną tajemniczością ciągnęły ku sobie oczy ciekawskich. Kto umiał czytać, dowiadywał się z wielkiego plakatu:

● DZIŚ WIELKI BENEFIS! CYRK „HARRY" Z PRAGI — SENSACJA TERAŹNIEJSZOŚCI!

● NAPOWIETRZNI AKROBACI! SALTO MORTALE!

● KUBUŚ MARYNARZ — BOMBA ŚMIECHU! CZŁOWIEK — GUMA!

● BAL NIEDŹWIEDZI! SZTUKI MAGICZNE!

● CZTEROLETNI AKROBATA!

● DZIECI PŁACĄ POŁOWĘ!

Na ulicach miasteczka i w pobliskich wsiach pojawiła się koło południa dziwna kawalkada: czwórka dorodnych koni zaprzęgnięta do orczyka kroczyła w rytm marsza. Orczyka trzymał się... zębami muskularny siłacz, przyprzęgnięty do platformy, na której grała orkiestra, a zabawny clown tańczył pociesznie i zapowiadał niebywałe cyrkowe atrakcje.

I oto nadszedł wreszcie upragniony wieczór...

Zabrzmiał jazzbandowy tusz, gwar podnieconej widowni wyciszył się, w rzęsiście oświetlony krąg areny wkroczyło sześciu **Niemeczków.** Najmłodszy — **Jarek** — miał cztery lata. Malec przetoczył się „wiatrakiem" wokół akrobatów i nie wiadomo kiedy znalazł się niemal pod kopułą cyrku, wyniesiony rękami braci, którzy przerzucili go zręcznie na szczyt kunsztownej żywej piramidy. Chłopiec skłonił się na wszystkie strony i zjechał na specjalnym siodełku na linie wprost w ręce clowna, z którym przekoziołkował dokoła areny.

Tak zaczął swoją karierę cyrkową pan **Jarosław Niemeczek.** Był to rok 1924...

Treser Niemeczek przygotowuje ratlerka „Picolo" do karkołomnej ewolucji.

BURZE I ZAWIERUCHY

Długie i nużące są wędrówki cyrkowe Rozbijanie namiotu w błyskawicznym tempie, kilkudniowe występy, składanie sprzętu i dalsza droga bez względu na pogodę. Ale oto i Zakopane. Tu pobyt powinien trwać nieco dłużej. Namiot gotowy afisze rozlepione... Aż tu nagle zrywa się wiatr halny o niebywałej sile. Płótna namiotu wydymają się jak żagle. W szumie wichury trzeszczą liny i drewniane konstrukcje trybun. Kto żyw, rzuca się do ściągania dachu. Nagły podmuch zrywa jednak całą kopułę i jak wielki spadochron unosi wysoko.

Ku rozpaczy cyrkowców dach zniknął na horyzoncie. Klęska? Gdzie tam! Przyszli okoliczni górale i dawaj molestować: „Panowie, przedstawiajcie bez dachu! Tylo luda się nawaliło. Zróbcie to la nas..."

Widzowie pomogli umocnić trybuny i przedstawienia szły pod gołym niebem, tylko za rondem okalającym cyrk. Dopiero w kilka dni później górale przywieźli odnaleziony cyrkowy dach z odległych o... 40 kilometrów lasów! Dla cyrku był to jednak dotkliwy cios. Trzeba było długo przymierać głodem, zanim „Harry" ruszył w dalszy objazd po Polsce.

Niemeczkowie, Czesi z pochodzenia, upodobali sobie gościnność i serdeczność Polaków i postanowili osiąść tu na stałe. Przyjęli obywatelstwo polskie. Polska stała się ich ojczyzną z wyboru.

Wojna zagnała artystów na tereny Związku Radzieckiego. Przydali się wówczas polscy cyrkowcy w pasie przyfrontowym, w okolicach Łucka czy Kijowa, jako „wojennaja cirkowaja brigada". Artyści nosili w tych czasach prawdziwe mundury wojskowe i byli uzbrojeni. Nieraz brali nawet udział w bezpośrednich starciach z nieprzyjacielem. Ale najczęściej byli żołnierzami, którzy dla innych żołnierzy mieli na zawołanie rozrywkę, atrakcję i śmiech, tak bardzo podtrzymujące na duchu w trudach walki.

POCIĄG na skrzydłach

Radziecki konstruktor, Genadyj Zelkin opracował projekt pociągu przyszłości, który nazwał „szynolotem". Składa się on z wagonu o 40 metrach długości, przypominającego wielkie cygaro z niedużymi skrzydłami po bokach. Wewnątrz wagonu, na dwóch poziomach, usytuowane są salony pasażerskie wyposażone w fotele typu lotniczego ustawione przed ekranem kinowym znajdującym się w każdym z salonów. W wersji turystycznej pociąg ma 180 miejsc — po 90 na każdym piętrze — ale na dłuższe trasy, kiedy salony spełniać będą również rolę sypialń, miejsc jest nieco mniej. Szybk. 600 km/godz.

Ideą pojazdów na skrzydłach inż. Zelkin zajmuje się już 15 lat W jego teczce z projektami znajduje się ponad 40 różnych koncepcji pociągów przyszłości, z tym, że właśnie „szynolotowi" wróży się ogromną przyszłość.

Można jednak zapytać dlaczego właśnie „szynolot", po co budować jednoszynową estakadę dla pociągów Zelkina, skoro od lat znane są poduszkowce, które pokonały np. brazylijskie rozlewiska Amazonki i piaski afrykańskich pustyń? Otóż Zelkin uważa, podobnie zresztą jak wielu specjalistów komunikacji zbiorowej na całym świecie, że poduszkowce są nieekonomiczne dla masowego transportu. Aby na swej drodze pokonać nawet niewielkie wzniesienie, poduszkowiec musi rozwinąć wielką moc; wiadomo także, że im większa jest poduszka powietrzna pojazdu, tym lepsze wykorzystanie jego energii, jednak zmniejszenie wagi poduszkowców odbiera im niemal wszystkie zalety ekonomiczno-techniczne.

Można także postawić inne pytanie: skoro potrzebna jest sztuczna jednoszynowa droga, to jaki ma sens rezygnacja z kół? Na to pytanie konstruktorzy mają dość zaskakującą odpowiedź: otóż jeden z największych wynalazków ludzkości — koło — zaczyna być przeszkodą w rozwoju komunikacji lądowej. Liczne eksperymenty wykazały, że radykalne zwiększenie szybkości przy tradycyjnym układzie — koło-szyna — jest niemożliwe, bowiem szyny wielkich szybkości po prostu nie wytrzymują. Wyprodukowanie szyn bardzo odpornych, także nie rozwiązuje problemu, bo przy wielkich szybkościach koło ślizga się po szynie.

Wykorzystanie poduszki powietrznej w pojazdach lądowych — jeśli można tak mówić o poduszkowcach — nie rozstrzygnęło jednak problemu zdecydowanego zwiększenia szybkości.

„Szynolot" Zelkina ma też poruszać się na poduszce powietrznej, jednakże estakada z jedną szyną daje mu gładką drogę. Dlatego grubość poduszki powietrznej wynosić ma jedynie kilka milimetrów, stanowiąc rodzaj powietrznego smarowania. Aby stworzyć tak cienką poduszkę, nie trzeba bardzo zwiększać mocy pojazdu, którą niemal w całości można wykorzystać do uzyskania dużych prędkości. Natomiast skrzydła „wchodzą do akcji", gdy owa prędkość jest już uzyskana: stwarzają one ową wznoszącą siłę znaną w samolotach, jakby zmniejszając wagę pociągu. Przy szybkości 600 km/godz. skrzydła powodują to, że pociąg Zelkina „waży" 8 ton zamiast 40.

„Szynolotowi" wróży się znakomitą przyszłość również z tych względów, że jego prędkość, to akurat ta brakująca luka między szybkością samolotu a tradycyjnego pociągu. Warto też pamiętać, że wprowadzanie coraz szybszych i większych samolotów wymagać będzie ogromnych lotnisk, znacznie oddalonych od miast. Natomiast „szynoloty" mogą wjeżdżać wprost do centrum miasta. Jest to wreszcie środek lokomocji niezależny od warunków atmosferycznych.

Mówi się, że świat staje się coraz mniejszy. Rzeczywiście — podróż na drugi koniec świata można odbyć błyskawicznie. Natomiast im bliżej — tym jedzie się wolniej. Może zmienią to „szynoloty"? (jk)

„TO JEST MOJA BROŃ..."

W 1942 roku **Jarosław Niemeczek** przedostał się do okupowanej Polski. Był już w tym czasie samodzielnym artystą cyrkowym. Uprawiał wyczynowo boks, był treserem lwów i koni, oraz akrobatą co się zowie.

Ustawiczne podróże sprzyjały kontaktom z partyzantami, dla których cyrkowcy przewozili broń i amunicję w cygarowym, pustym wewnątrz maszcie karuzeli. Pewnego razu koło Miechowa cyrk został zatrzymany przez silny patrol żandarmerii. Szczegółowa rewizja nie dała rezultatów. Rozpoczęło się więc przesłuchanie.

— Broń macie? — zapytał w pewnej chwili groźnie dowódca żandarmów.

— Tak jest! — odpowiedział nie mrugnąwszy nawet okiem muskularny atleta Niemeczek.

— Pokazać!

Artysta wyciągnął wtedy potężne ręce. Dłonie miał zgrubiałe od pracy fizycznej jak podeszwy od butów. Zacisnął pięści i powiedział:

— To jest moja broń. Może kto na ochotnika zechce mnie rozbroić?

Niemcy zarechotali z „dowcipu". Zawartość karuzelowego masztu dotarła szczęśliwie do miejsca przeznaczenia. Największą uciechę mieli z cyrku partyzanci...

RODZINA WIERNA SZTUCE CYRKOWEJ

Rok 1946. Na krakowskich Błoniach stanął wielki namiot z napisem „Arena", a programy i afisze zapowiadały, że jest to najstarsze przedsiębiorstwo rozrywkowe w Polsce, istniejące od roku 1880. Był to równocześnie pierwszy w Polsce Ludowej cyrk — **cyrk Jarosława i Józefa Niemeczków.**

Po wielu sukcesach odnoszonych w całej Polsce brat pana Jarosława zmarł od ran zadanych przez spłoszone lwy. Dotkliwa to była strata dla sztuki cyrkowej.

Pan Jarosław pozostał jednak wierny swojej sztuce i tradycji rodzinnej. Od 1951 roku pracuje — jak wszyscy polscy cyrkowcy — w Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych, zrzeszających obecnie 10 cyrków. Razem z nim występują: żona **Wiesława** — akrobatka, 29-letni syn **Zdzisław,** który jest akrobatą-kaskaderem, 21-letnia córka **Gizela** — treserka, oraz 17-letni syn **Ewaryst,** dobrze zapowiadający się i jedyny jak dotąd w Polsce antypodysta żonglujący przy pomocy nóg. Rekwizyty w postaci olbrzymich plansz, beczek i butli otrzymał w spadku po światowej sławy anypodyście Anastazym Brownie. Ćwiczy od 7 lat pod kierunkiem niezawodnego instruktora-ojca, przygotowując się jednocześnie do matury. Tylko najmłodsza pociecha, 9-letnia **Dasza,** nie pójdzie chyba ich śladem, ale nie jeszcze nie wiadomo, bo ci, co urodzili się w cyrku i spędzili w nim swoje dzieciństwo, często wracają na arenę nawet po wyższych studiach — taka jest magiczna siła areny.

KONIEC SEZONU

Rok 1972. Cyrk „Tramp" rozbija namiot w Płońsku. I nagle zrywa się wichura, jak niegdyś w Zakopanem. Lada chwila potężne płótno runie albo uniesie się w powietrze. Pan Niemeczek zna wartość tego „dachu nad głową" (1 milion złotych!) i wie już teraz, jak zapobiegać tego rodzaju katastrofom. Pod kierunkiem jego i obydwu synów brygada szybko przystępuje do pracy i w ciągu 15 minut namiot miękko osiada na arenie. Tym razem wiatr niczego nie zniszczył.

Kończy się sezon. Jeszcze tylko jedno miejsce postoju: w Nowym Dworze. Na arenę wbiegają dwie drużyny po sześciu zawodników i sędzia. Wszystko — psy dogi w strojach piłkarzy. Na komendę pana Niemeczka bramkarze zajmują stanowiska, a zawodnicy rozpoczynają grę: „Warszawiacy" contra "Miejscowi". Podania i zwody, jak w prawdziwym meczu. Doping z trybun też. Nagle groźny faul. Rzut karny. Egzekwuje Kort. Gol! Brawa. Zawodnicy dziękują publiczności stojąc na dwóch łapach. Po obejrzeniu tego występu węgierski recenzent w Miszkolc napisał, że jeżeli treser Niemeczek zarządzi, żeby padał deszcz, to najbardziej ucierpią ci, co nie zabrali parasoli. W tym cyrku wszystko jest bowiem możliwe...

Cieszy się sztuka cyrkowa Niemeczków powodzeniem nie tylko w kraju. Znają ich występy w ZSRR, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii, Bułgarii, Jugosławii, w NRD, w NRF, w Finlandii i Szwecji.

Mało kto wie, że wspaniałe efekty wymagają codziennej żmudnej, wielogodzinnej pracy, która nie kończy się wcale z sezonem cyrków objazdowych. Sezon ten trwa przeszło pół roku — od kwietnia do listopada, ale zimowy okres to też czas pracowity przeznaczony na przygotowywanie nowych numerów, uzupełnianie rekwizytów i doskonalenie własnej sprawności. Praca artysty cyrkowego jest żmudna, przed występem zawsze — i u każdego — towarzyszy jej trema i wielkie napięcie, satysfakcja trwa bardzo krótko... a jednak pan Niemeczek zapytany, czy zamieniłby swój zawód na inny, odpowiedział, że nie. To się ma we krwi i prawdziwym nieszczęściem dla niego byłoby pozostanie poza cyrkiem.

WACŁAW BISKO
Fotografie ze zbiorów Jarosława Niemeczka

Córka Jarosława Niemeczka, Gizela i foksterier „Furman" wykonujący salto do tyłu.
Foto: Marian Gazdalski

JAK ZOSTAĆ ARTYSTĄ CYRKOWYM?

OD 1967 roku istnieje w Julinku pod Warszawą jedyna w Polsce Państwowa Szkoła Cyrkowa pod patronatem Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych. Wykładowcami i instruktorami są tam artyści cyrkowi i pedagodzy po ukończonej Akademii Wychowania Fizycznego.

Nauka w szkole trwa 2 lata. Co dwa lata szkoła może przyjąć 35 kandydatów w wieku od 18 do 20 lat, od których wymaga się: **świadectwa ukończenia szkoły średniej, doskonałego stanu zdrowia** (zaświadczenie lekarskie takie jak na wyższe studia), **odpowiedniej aparycji, uzdolnień ruchowych**, które sprawdzane są specjalnymi testami, **zmysłu równowagi i obeznania z takimi dyscyplinami sportowymi, jak gimnastyka przyrządowa i akrobatyka sportowa.**

Program nauczania obejmuje pięć przedmiotów podstawowych:

1. **Akrobatyka** (największa liczba godzin).
2. **Gimnastyka przyrządowa** (trapez, kółka, poręcze, palot, batut itp.).
3. **Ekwilibrystyka** (najbardziej klasyczny przedmiot cyrkowy, nie mający odpowiedników w dyscyplinach sportowych), a więc wszelkie ćwiczenia na linach i ćwiczenia równoważne oraz akrobatyczno-żonglerskie.
4. **Żonglerka** (przedmiot wymagający wyraźnego talentu).
5. **Jeździectwo** (wymagana sympatia dla koni).

Przedmioty dodatkowe to: **podstawy techniki tańca klasycznego, elementy gry aktorskiej, charakteryzacja, podstawy rytmiki i umuzykalnienia, anatomia i biomechanika, historia cyrku oraz podstawy i zasady bezpieczeństwa i higieny pracy.**

Szkoła nie prowadzi szkolenia w dyscyplinach specjalistycznych, jak iluzjonistyka, tresura zwierząt i sztuka clowna. Specjalności te, wymagające szczególnego talentu, rozwija się w praktyce cyrkowej.

W szkole jest internat i stołówka. Nauka jest bezpłatna. Wzorowi uczniowie mogą otrzymać stypendium w wys. 519 zł miesięcznie. Po ukończeniu szkoły absolwenci otrzymują pracę w placówkach Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych. Utalentowanym proponuje się współpracę czasami już w czasie studiów. Ze szkołą współpracuje Ośrodek Szkolenia i Doskonalenia Artystów, mieszczący się w tej samej bazie. Studium cyrkowe daje tylko ogólne wiadomości. Właściwy rozwój umiejętności cyrkowych odbywa się w trakcie pracy w przedsiębiorstwie pod okiem mistrzów danej specjalności.

Szkoła przyjmuje zgłoszenia pisemne do czerwca 1973 r., zainteresowanym podajemy adres: **Dyrektor Państwowej Szkoły Cyrkowej mgr Stanisław Pietruch — Julinek k/Warszawy, pow. Pruszków. (W.B.)**

LEW LWA LWOWICZA

Za świątecznym stołem w mieszkaniu bakijskiego architekta L. Berberowa zasiadło pokaźne grono gości. Listonosz co chwila przynosił następne telegramy i listy z życzeniami. Bohaterem uroczystości był King, potężny lew obchodzący właśnie drugie urodziny. King nie zwracając uwagi na swój rozgłos (porykiwał już w radio, prezentował się w audycji telewizyjnej, pisano o nim w gazetach) zachowywał się bardzo skromnie.

Małżonkowie Nina Pietrowna i Lew Lwowicz (!) Berberowowie (King wywodzi się z bardzo już przetrzebionego gatunku lwów berberyjskich!!) wzięli lewka z ZOO w Baku, gdy był jeszcze zupełnie mały i chory. Teraz King jest pięknym i zadziwiająco mądrym zwierzęciem. Stanowi niezwykłą atrakcję dla dzieci z sąsiedztwa, których jest prawdziwym ulubieńcem. Ale jednak nade wszystko przepada za dziećmi swoich gospodarzy.

King żyje też w przykładnej a nawet można powiedzieć wielkiej przyjaźni z małym kudłatym pieskiem Czapą i syjamskimi kotami — również członkami tej niezwykłej rodziny.

(jk)

● Walka człowieka z anakondą ● Nocne polowanie na kajmany ● Hans Kleider rezygnuje z zapłaty ● Podzwrotnikowe lasy — piekło czy raj? ● Nie zwariowałem w dżungli.

PIROGĄ W DORZECZU AMAZONKI

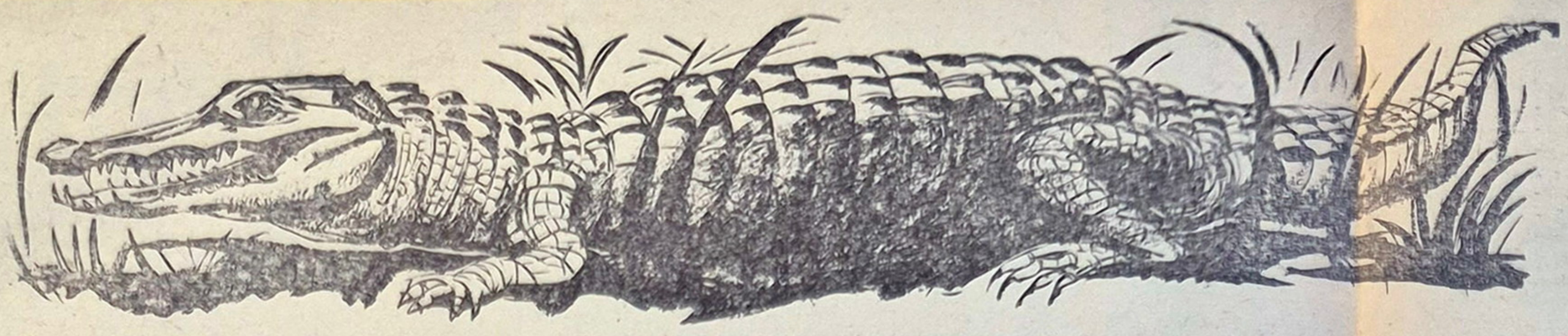

TE komary były potworne! Z prawdziwą przyjemnością zanurzyłem w rzece obie ręce po łokcie. Co za ulga! W ostatnich promieniach zachodzącego słońca obmywałem zakrzepłe strużki krwi i niezliczone ślady ukąszeń. Komary kolumbijskiej dżungli są chyba najżarłoczniejsze na świecie! Słyszałem za moimi plecami cowieczorny harmider biwaku: to nasi Indianie-wioślarze oczyszczali kawał ziemi na nocleg, rozpalali ognisko, rozpinali hamaki. Ja miałem tego wszystkiego powoli dosyć...

Nagle potworny ból targnął moim przedramieniem, a w ułamek sekundy później ujrzałem je — piranie. Właśnie jedna z nich wyrwała mi kawałek ciała z ręki. Rycząc z bólu i tamując krew pobiegłem do obozowiska...

Hans Kleider — student z NRF — odwinął lewy rękaw koszuli i pokazał mi bliznę wielkości dziesięciozłotówki. Siedzieliśmy na tarasie młodzieżowego hotelu we Frankfurcie nad Menem już trzecią godzinę. Hans pracuje tu w czasie wakacji jako portier. Pracuje pierwszy rok. Bo poprzednie wakacje spędził tam, nad Amazonką, na pograniczu Peru, Kolumbii i Brazylii. Poprosiłem go, by korzystając z wolnego dnia opowiedział tamtą historię dziennikarzowi z Polski. Przekazuję wam ją wiernie.

Tylko samolot doleci

To zaczęło się bardzo obiecująco. Kolega ze studiów nawiązał kontakt z przebywającym zimą w naszym mieście panem George Palaosem, który trudnił się chwytaniem egzotycznych zwierząt w amazońskiej dżungli i dostarczaniem ich do ogrodów zoologicznych. Palaos potrzebował młodych, chętnych przygód mężczyzn. Podpisaliśmy kontrakt na trzy miesiące. Przedsiębiorca zapłacił za przelot do Bogoty, stolicy Kolumbii. Spotkanie miało nastąpić w mieście na skraju Amazonki — Leticii. W Bogocie mój kolega zapadł na jakąś nieznaną w Europie chorobę — został w szpitalu. Dalej pojechałem sam. Do Leticii mogłem się dostać tylko drogą powietrzną, trzy razy w tygodniu latał na tej trasie samolot. Czekałem aż dziesięć dni, bo samoloty rezerwowane były dla tłumów bogatych turystów.

Przez cztery godziny lotu — tylko zieleń pod nami. Wydawało się, że nie ma końca. Tam miałem przeżyć moją egzotyczną przygodę. Ściskając w kieszeni resztki skromnego funduszu, prosto z lotniska poszedłem w Leticii na pocztę, gdzie miała być wiadomość dla mnie. Przed wieczorem płynąłem już motorówką kierowaną przez Indianina imieniem Pedro do stacji pana Palaosa. Dopłynęliśmy tam prawie nocą; byłem gdzieś w dorzeczu Amazonki.

Anakonda poluje nocą

Już ósmy dzień snuliśmy się po tym labiryncie rzecznym. Trzy pirogi ze skrzyniami. Trzech białych i dziesięciu Indian. W dzień paliło nas słońce, pod wieczór żarły komary. W mojej pirodze sternikiem był Pedro, ten sam, który spotkał mnie w Leticii. Naszą wyprawą kierował Guido — Portugalczyk z pochodzenia, prawa ręka Palaosa. On sam został w domu, płacił przecież nam za robotę. Wkrótce okazało się, że polega ona głównie na zabijaniu kajmanów — tutejszych krokodyli, i ściąganiu z nich skór, które zamówiła u Palaosa jakaś wielka firma galanteryjna. Zacząłem wtedy wątpić w uroki mej przygody. Ale to był dopiero początek.

Tego wieczora poderwał nas od ogniska straszliwy wrzask i i chlupot wody. Chwyciłem w dłoń rozpaloną głownię i pobiegliśmy nad brzeg rzeki. Nie zapomnę tego widoku: jeden z naszych wioślarzy, kąpiący się w rzece, został zaatakowany przez anakondę. Ponad pięciometrowej długości wąż-dusiciel oplatał zwojami swojego ciała oszalałego ze strachu Indianina. Guido skoczył z maczugą na pomoc. Ja zapaliłem reflektor w pirodze. Współplemieńcy napadniętego wskoczyli do wody z nożami. Z zemsty pocięli węża na kawałki, choć nie jest to wcale łatwe. Nieszczęsny Indianin stracił przytomność. Odzyskał ją nazajutrz rano, ale nie mógł nawet siedzieć o własnej sile. Mieliśmy więc chorego w wyprawie — to znaczne utrudnienie.

Dziesięć metrów od piekła

Tej nocy nie polowaliśmy na kajmany, choć było ich tu sporo. Zbyt mocno wstrząsnął nami atak anakondy. Następnego dnia ruszyliśmy w drogę ku jakimś znanym tylko szefowi naszej wyprawy rozlewiskom, by zapolować tam nocą. Wkrótce rozpoczęły się na rzece niebezpieczne zakola, gmatwanina skalnych progów, małych wodospadów. Chory Indianin leżał w mojej pirodze. Pomyślałem wtedy, że równie dobrze mnie mógł spotkać taki sam wypadek. Ciarki przeszły mi po grzbiecie; przecież przyjechałem tu przeżyć przygodę i... zarobić! Precz, złe myśli!

Nagle włosy zjeżyły mi się pod kapeluszem. Guido ze swej pirogi również dojrzał niebezpieczeństwo i wrzasnął wymachując ku mnie rękami. O jakieś dziesięć metrów przed nami woda wpadała z łoskotem w wielki, ciemny lej. Jak w piekło! — pomyślałem. Prąd bezlitośnie parł nas w tamtą stronę. Straciłem głowę. Ale moi wioślarze w ostatniej chwili chwycili za zwisające nad wodą liany, gałęzie i napinając ze wszystkich sił swe muskularne mięśnie zdołali zatrzymać pirogę i skierować ją ku brzegowi. Brakowało tak niewiele, byśmy stracili łódź z całym ładunkiem, a może nawet i życie...

Tego popołudnia rozbiliśmy obóz wcześniej. Stąd mieliśmy przywieźć nasze najcenniejsze trofea.

Guido strzela pierwszy

— Ja strzelam pierwszy, ty dopiero jeśli ja nie trafię — powiedział Guido. Nie miał zaufania do moich myśliwskich zdolności.

Wypłynęliśmy pirogą, gdy tylko nastały ciemności. Dwóch Indian, Guido i ja. Na dziobie łodzi — elektryczny reflektor. Guido mierzy nim po rzece. Tu, na płyciznach, łatwo spotkać kajmana.

Nagle wszyscy widzimy dwa świecące punkty, dwa metry dalej — następne. Strzelamy obydwaj, a w parę sekund później Indianie holują do łodzi dwa trzymetrowe kajmany. Takie są najlepsze, takich skór właśnie nam potrzeba! Wracamy do obozu.

Leżę w hamaku pod moskitierą i jestem dziwnie podrażniony. Czy przyjechałem tu po to, aby strzelać między ślepia krokodylom? Czy to ma być moja egzotyczna przygoda?! Dzielę się swoimi myślami z Guido, który posapuje w hamaku obok.

— Daj spokój! — mamrocze sennie szef wyprawy. — Tu nie trzeba myśleć. Nie za to przecież płaci nam mister Palaos...

W policyjnej motorówce

A następnego wieczora stało się to, o czym opowiedziałem panu na początku: pirania zraniła mi rękę. Bardzo głęboko, boleśnie. Mimo natychmiastowego opatrunku — rana zaczęła się jątrzyć. Tam, w równikowej dżungli, łatwo o zakażenie, rany nie chcą się goić. Byliśmy o kilka dni drogi od bazy pana Palaosa. Wyprawa właściwie dopiero się rozpoczęła, chory — byłbym dla towarzyszy tylko ciężarem. Guido pozostawił mnie więc w niewielkiej stacji handlowej wraz z Indianinem, którego napadła anakonda. Ale agent handlowy nie miał ani lekarstw, ani ochoty, by się nami zajmować.

Leżałem więc bez opieki. Miałem silną gorączkę. Trzeciego dnia usłyszałem z daleka warkot silnika motorówki. To patrol policyjny poszukiwał jakiegoś przestępcy. Policjanci zgodzili się zabrać mnie do najbliższej osady.

Oczywiście, wyleczono mnie. Przyleciał zaraz samolot sanitarny, który odtransportował mnie do szpitala. Za wszystko hojnie płacił pan Palaos. Ale kiedy już wyleczony zgłosiłem się w jego biurze, powiedział:

— Miał pan pecha, mister Kleider, z pana honorarium po uregulowaniu kosztów szpitala zostało tylko 15 dolarów. Oto one...

Rzuciłem mu w twarz te pieniądze. Jak wróciłem do domu? Miałem dużo szczęścia. Jakaś przypadkowa niemiecka wycieczka wynajęła samolot prywatnej linii lotniczej; zabrano mnie. Wie pan, to chyba cud, że ja w tej dżungli nie zwariowałem.

Spisał: JAN STYKOWSKI
Rys. H. Chmielewski

Wachmistrz Soroka — gra go Ryszard Filipski — to jedna z barwniejszych postaci w „Potopie".

Spotkanie z Kmicicem

Puszcza Niepołomicka. Zwalone pnie zagradzają drogę. Przez gęstwinę przeziera się trzech jeźdźców na koniach. Ciągną zbite z gałęzi nosze. Leży na nich nieruchoma postać okryta kożuchem.

Kawalkada dotarła do bagien. Konie rżą niespokojnie. Nie chcą wchodzić w wodę, zapadają się w grząskim mule po kolana. Jeźdźcy schodzą z koni. Będą przeprawiać się przez bagna pieszo. Zdejmują rannego z noszy i biorą go na ręce.

Idą wolno, ostrożnie. Co chwila któryś z nich zapada się po pas w grzęzawisku. Podtrzymują się nawzajem, chroniąc jednocześnie rannego, którego głowa owinięta w brudną szmatę, bezwładnie zwisa im z ramion.

— Nie dojdziem tędy — mówi jeden z nich z wysiłkiem. Trza nam było iść gościńcem, a nie na skróty.

— Gościniec to stryczek i śmierć pewna — ucina drugi.

— Tu też zginiem marnie — dorzuca trzeci.

Ale przeszli. Jeszcze po kilkakroć wpadali w wodę, gubili buty nasiąkłe błotem, ścierali ręce do krwi chwytając się oślizłych konarów... Jednak dotarli na drugi brzeg. Zmordowani i zabłoceni złożyli rannego pod wielkim drzewem.

— Żyje, chwała Bogu — ucieszyli się...

W takim to właśnie momencie spotkałam się z Kmicicem. Stałam wśród kabli, reflektorów i kamer po suchej stronie rzeczki, a naprzeciw mnie męczyli się w błocie i w zimnej wodzie — aktorzy.

Wieczorem, po zdjęciach Daniel Olbrychski-Kmicic, już przebrany i domyty z błota, miał wreszcie czas na opowiadanie.

— Widziała pani podczas dzisiejszego kręcenia jedną z kulminacyjnych scen z II tomu „Potopu", kiedy to ciężko rannym od kuli księcia Bogusława Kmicicem zaopiekował się wachmistrz Soroka. Wraz z dwójką wiernych kompanów przeprawia się z nim przez bagna, aby schronić się przed pogonią do chaty smolarza. Sorokę gra Ryszard Filipski. A dwóch wiernych żołnierzy — Ryszard Ostałowski i Wirginiusz Gryń. Wszyscy świetnie jeżdżą konno i dobrze strzelają. Dodam jeszcze do tej kompanii Kiemliczów, których spotkamy w chacie smolarza; ojca — Franciszka Pieczkę i jego synów — Kosmę i Damiana, w cywilu studentów — autentycznych bliźniaków — Wacława i Lesława Janickich. Cała ta szóstka mężnie dzieli ze mną filmowe trudy w scenach, które teraz realizujemy.

To dzisiejsze ujęcie nie było nawet niebezpieczne, tylko dość uciążliwe. Gorzej było wiosną na Białorusi, gdzie kręciliśmy zdobywanie Lubicza przez Wołodyjowskiego i Butrymów. Ten fragment kończy się, jak wiadomo, pojedynkiem pana Michała z Kmicicem.

Pojedynek kręciliśmy trzy pełne dni (na ekranie trwać on będzie kilka minut), polewani cały czas strumieniami wody, gdyż walka toczyć się miała podczas ulewnego deszczu. Opis tego pojedynku u Sienkiewicza to jedna z najsławniejszych walk na szable w naszej literaturze. Dla szermierzy w filmie była to jedna z najcięższych prób.

Układ pojedynku ćwiczyłem z Tadeuszem Łomnickim (Wołodyjowskim) przez kilka tygodni pod okiem wybitnego specjalisty Waldemara Wilhelmiego. Aby nasza szermierka wypadła na ekranie z właściwą szybkością i w sposób wiarygodny, musieliśmy walczyć naprawdę, a nie tylko udawać. Każdy najmniejszy błąd z naszej strony mógł spowodować nieobliczalne skutki. Zwłaszcza w strugach deszczu... Na szczęście przebrnęliśmy przez to, choć do dziś wspominamy przykrość noszenia mokrych kostiumów, bo nie było nawet czasu, by się często przebierać.

W pojedynku nie miałem kontuzji, ale zdarzyła mi się przy innych scenach. Gdy pędziłem konno na czele jazdy w walce na dziedzińcu zamku w Kiejdanach, poczułem nagle, że siodło się osuwa i wciąga mnie pod brzuch konia. Upadłem z siodłem i szablą na kamienie, wprost pod nogi pędzących koni. Lekarz natychmiast zabrał mnie na nosze. Na szczęście skończyło się na drobnych potłuczeniach.

Z koniem miałem jeszcze inny wypadek. Mój „Alkazar" potknął się w galopie i upadł na bok przygniatając mi nogę. Do dziś boli mnie kolano po tym wypadku. Mimo to moje kontakty z „Alkazarem" są wręcz doskonałe. To cudowny koń! Rozumie każde moje polecenie. Pływaliśmy razem w Dnieprze, odbywaliśmy długie jazdy po malowniczych terenach Białorusi. Nauczyłem go też wielu sztuczek, jak np. wyjmowania kostki cukru z moich ust, czy podstawiania łba, aby podrapać go za uchem. „Alkazar", gdy go dostałem, był zupełnie nieujeżdżony, a dziś dorównuje w aktorstwie słynnemu „Ryngrafowi", mojemu poprzedniemu rumakowi z filmu „Pan Wołodyjowski".

Jak znoszę filmowe trudy? No, proszę nie zapominać, że do dziś uprawiam wiele dziedzin sportu. Ciągle ćwiczę i trenuję, co wpływa dodatnio na moją kondycję. Do „Potopu" przygotowywałem się zresztą szczególnie intensywnie. Mój trening polegał np. na tym, że w największe mrozy rozbierałem się do naga i nacierałem śniegiem. Tak się tym rozgrzewałem, że włożenie później oblodzonego kostiumu nie było już dla mnie przykre. Wiedziałem, że nie mogę marznąć na planie. Nie mogę czuć niechęci do zimnej wody, przerębli, czołgania się w śniegu czy błocie... Teraz nie ma dla mniej ujęć, do których stawałbym niechętnie przed kamerą.

Do przygód, które już opowiedziałem dołączyłbym jeszcze jedną. Mój pojedynek z Józwą Butrymem-Beznogim. Gra go aktor mający przeszło 2 metry wzrostu — Bruno O'ya. W ogromnej barankowej czapie i kożuchu przypominał wielką górę. Stoczyłem z tym kolosem Józwą zacięty pojedynek. Wygrałem, ale zaiste nie przyszło mi to łatwo.

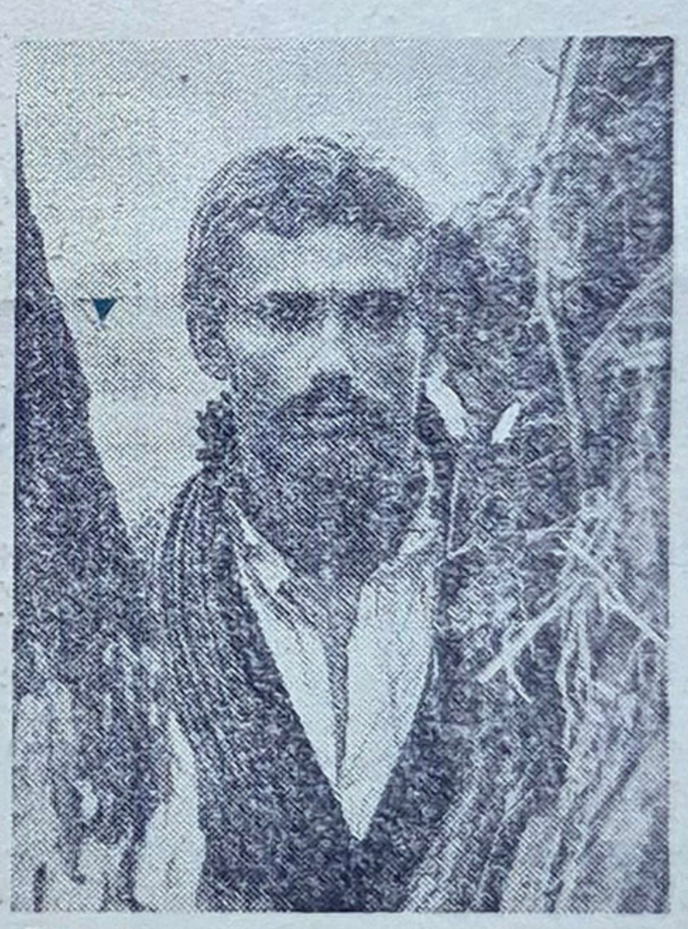

Oto główny bohater filmu imć pan Andrzej Kmicic — Daniel Olbrychski.

Żyje, chwała Bogu! — powiedzieli, gdy z rannym Kmicicem przeprawili się przez bagna.

*

Reżyser Jerzy Hoffman powiada, że „Potop" jest dopiero na półmetku, choć nakręcono już około 70 proc. materiału. Czeka więc aktorów jeszcze wiele bitew, potyczek i przygód.

Na razie po plenerach w Częstochowie, Łodzi, Mińsku, Kijowie i Bogusławicach ekipa przeniosła się z Puszczy Niepołomickiej do samego Krakowa. Tu we wnętrzach Wawelu nakręcono sceny rozgrywające się w komnatach Zamku Kiejdańskiego — siedzibie wojewody wileńskiego księcia Janusza Radziwiłła. Przebogate dzieła sztuki i zabytki zgromadzone na Wawelu jak np. wiele mebli, naczyń, srebrnych dzbanów i pucharów oraz inne drobne eksponaty ożyją na ekranie. Ale to wszystko nieprędko jeszcze będziemy podziwiać. Reżyser Hoffman planuje premierę tego barwnego i szerokoekranowego filmu dopiero na rok 1974.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

Foto: Kajetan Adamowski

SAMOTNIE przez OCEAN

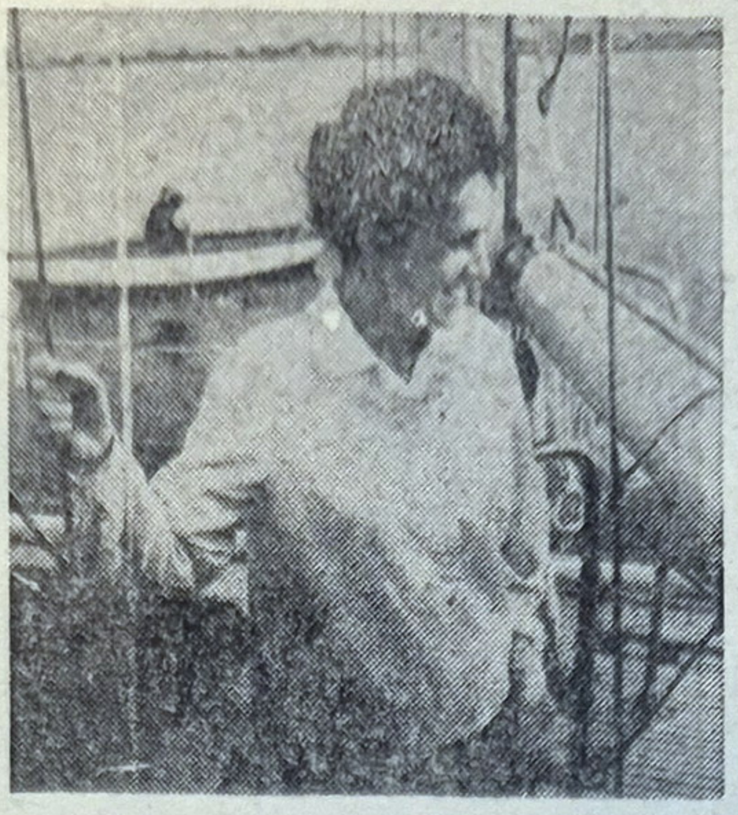

CZAS: 57 DNI, 3 GODZINY, 18 MINUT

Czy ktoś lubi nowego, takiego prosto spod choinki czy ze sklepu, misia, małpkę albo innego zwierzaka? Chyba nie, bo jest podobny do dziesięciu innych, obcy — nie wiążą się z nim jeszcze żadne wspomnienia, żadne przeżycia. Co innego wysłużony, z przetartym futerkiem, trochę przybrudzony, z nadszarpniętym ogonem. Taki jest jedyny, swój, nawet wtedy, gdy się jest już dorosłym człowiekiem. Podobno niekiedy taki zwierzak przynosi szczęście, a w dodatku nie obraża się, jeżeli właściciel pożyczy go przyjacielowi, żeby i jemu się szczęściło.

Z taką właśnie małpką-maskotką, która miała za sobą wiele, wiele mil morskiej żeglugi i przyniosła szczęście niejednej załodze i niejednemu jachtowi, wyruszyła w niedzielę 18 czerwca 1972 roku na swój rejs pani kapitan Teresa Remiszewska.

A rejs miał to być niezwykły — pierwszy samotny rejs Polki przez Atlantyk. Wprawdzie dokonały tego wyczynu już dwie Angielki — Ann Davison w 1952 r. i Nicolette Walker w r. 1971 — ale w regatach transatlantyckich, organizowanych co cztery lata już po raz czwarty, nie brała dotychczas udziału żadna kobieta. Oprócz Teresy Remiszewskiej w roku 1972 zgłosiły się tylko dwie Francuzki. Tak czy inaczej nasza samotna żeglarka jest w pierwszej piątce śmiałych kobiet.

W DZIEŃ PO ARMATNIM WYSTRZALE

Nie można powiedzieć, żeby małpka przyniosła jej szczęście od początku. Jacht „Komodor", numer regatowy 19, przygotowywany do wyprawy przez stoczniowców na łapu-capu, spóźnił się do Plymouth — angielskiego portu, który był miejscem startu, i pani Teresa nie przeżyła razem z 54 kolegami-żeglarzami uroczystej chwili stawiania żagli, którą obwieścił wystrzał armatni. Odbiła od brzegu o dzień później, o świcie 18 czerwca, we mgle i deszczu, żegnana nie przez tłumy, tylko przez jednego człowieka — organizatora regat Terence Shawa — który narzucił płaszcz na piżamę i zawołał: „Good luck, Teresa!" (Powodzenia!)

Tak więc zostały we dwie z małpką na „Komodorze", jachcie długości 13 m, a szerokości 3,10 m, i miały na nim dotrzeć do mety, czyli do Newport w Stanach Zjednoczonych. Jaką trasą, to zależało od pani kapitan. Mogła wybrać spokojniejszą, pewniejszą — przez Azory — która wynosiła około 3500 mil, albo trudniejszą dla żeglarza, bardziej niespokojną ze względu na prądy i sztormy, ale krótszą o 600 mil i bardziej wysuniętą na północ wiodącą po łuku ortodromy, czyli najkrótszej linii łączącej dwa punkty na zakrzywionej powierzchni Ziemi. Wybrała oczywiście tę krótszą, bo przecież każdy uczestnik regat chce być na mecie pierwszy, a jeżeli nie pierwszy, to chociaż w czołówce.

NIE DLA MIĘCZAKÓW I PONURAKÓW

Zaczęła się przygoda. Przeciwne wiatry o sile 4—5 stopni w skali Beauforta na zmianę z okresami ciszy, czyli flauty, która uniemożliwia posuwanie się naprzód. Ale na to przygotowany jest każdy żeglarz, a Teresa Remiszewska jest żeglarzem wytrawnym. Ma za sobą 27-letni staż żeglarski, w tym dwanaście lat dowodzenia jako jachtowy kapitan żeglugi wielkiej. Wyhuśtał ją już nieraz Bałtyk, który — choć mały w porównaniu z oceanem — potrafi być bardzo groźny. Samotność też jej nie dokuczała, okazało się bowiem, że oprócz małpki miała przez tydzień pasażera na gapę — pana Gołębiowskiego, czyli gołębia — który się czuł na „Komodorze" jak u siebie w domu. Samotność nie była dla niej zaskoczeniem również dlatego, że przed dwoma laty odbyła już taki dwutygodniowy rejs. W rejsie takim żeglarz może liczyć tylko na siebie i na swój jacht, musi więcej pracować — nie tylko głową, ale i rękami. Trzeba więc znaleźć czas na obliczenie kursu, czyli nawigację, wykonywanie manewrów, klarowanie jachtu, żeby go nie „zjadła" morska sól, na zrobienie porządku w koi, gotowanie, zmywanie, sen. Bo sen to obowiązek każdego żeglarza. Inaczej straci siły i morze pokona go bardzo szybko.

Najważniejsze jednak, żeby w tym nawale zajęć zachować dobrą formę i poczucie humoru, niepowodzenia kwitować żartem, a znużenie odpędzać wesołą piosenką, bo człowiek ponury w samotnym rejsie zadręczy sam siebie.

Przyjemne są wolne chwile, kiedy przy dobrej pogodzie po prostu słucha się morza i jachtu. Tak, bo jacht nigdy nie milczy — zawsze coś na nim podzwania, trzeszczy, coś postukuje, trzepocze, uderza.

PECH NA PECHU JEDZIE I PECHEM POGANIA

Takich spokojnych chwil Teresa Remiszewska nie zaznała jednak wiele. Na jachcie niemal od pierwszych dni coś nawalało: a to pękały szoty, a to maszt się rozchybotał, a to takielunek nadwerężał, ciągle coś się luzowało, pękało. Trzeba było zszywać grube żaglowe płótno, mocować, wymieniać przy dużych przechyłach, wysokiej 7-metrowej fali i sztormowym wichrze, dochodzącym do „ósemki".

Nie zwracałaby uwagi na poranione ręce, na to że jest przemarznięta i przemoczona, że pokonuje wysiłki na miarę wytrzymałości mocnego mężczyzny (a pani Teresa jest drobna i szczupła), gdyby wreszcie udało się jej doprowadzić jacht do ładu i iść pod pełnymi żaglami. Ale gdzie tam! Nie dość, że maszt wygiął się w kabłąk, a w końcu pękł, to w dodatku gdzieś w połowie drogi spaliła się prądnica. A kiedy nie ma świateł pozycyjnych, trzeba czuwać przy lampce naftowej całą noc, żeby się nie zderzyć z inną jednostką.

Na początku rejsu mogła spać 3—4 godziny bez przerwy, ale pech chciał, że złamał się świetny angielski samoster, urządzenie, które pozwala jachtowi utrzymać kurs względem wiatru. Teraz trzeba było spanie ograniczyć do 1 godziny, i to oczywiście w dzień. A mimo to zbliżała się do mety.

ŚWIĘTO NARODOWE POLONII AMERYKAŃSKIEJ

Kiedy ujrzała światło latarniowca zwiastujące wejście do zatoki, nad którą leży Nowy Jork i Newport, odetchnęła głęboko — to był zdany egzamin z nawigacji. Między latarniowcem a boją była meta. I znowu — podobnie jak linię startu — linię mety przekraczała sama. Człowiek, który podpłynął do niej na motorówce, odezwał się po polsku. Była to chyba jedna z najmilszych chwil po długiej samotności i trudach.

A potem były już powitania — orkiestry, fanfary, bicie w talerze, śpiewy, tysiące uścisków, dziennikarze różnych narodowości i Polacy z Polonii amerykańskiej, którzy przebyli do Newport setki mil, żeby zobaczyć tę niezwykłą rodaczkę; dla nich spotkanie z polskimi żeglarzami-samotnikami — Teresą Remiszewską, Krzysztofem Baranowskim i Zbigniewem Puchalskim — było niemal świętem narodowym.

Teresa Remiszewska nie przybyła pierwsza, ale w tych regatach nie to jest najważniejsze. Najważniejsze jest zwycięskie stawienie czoła oceanowi, a w jej przypadku dodatkowa satysfakcja, że jest pierwszą w dziejach żeglugi światowej Polką, które samotnie pokonała Atlantyk na jachcie sportowym. „Komodor" bowiem — jednostka typu „Opal" — nie jest jachtem regatowym.

Jak wielki był to wyczyn, mogą świadczyć fakty, że akces do regat zgłosiło 300 żeglarzy z całego świata, a do portu wyjściowego stawiło się tylko 59, spośród których pięciu nie dopuszczono do regat. Trzynastu spośród 54 startujących nie doszło do mety, a byli wśród nich sami mężczyźni, żeglarze wysokiej klasy, między innymi lord Chichester.

NAVIGARE NECESSE EST *)

Siedzi sobie teraz małpka-maskotka za szybą kapitańskiej biblioteki obok pamiątkowego srebrnego medalu w kształcie popielniczki z wyrytym napisem, że **kapitan Teresa Remiszewska — uczestnik IV Transatlantyckich Regat Samotnych Żeglarzy w roku 1972 trasę Plymouth — Newport przebyła w czasie 57 dni, 3 godzin, 18 minut.**

Małpka będzie teraz stałym załogantem pani Teresy. Tak — i chyba bardzo słusznie — postanowili jej przyjaciele. Czy była dobrą maskotką? Czy przyniosła szczęście? Gdyby umiała mówić, to — jako jedyny świadek zmagań swego kapitana z oceanem — na pewno powiedziałaby, że o szczęściu i powodzeniu zadecydowała nie ona-maskotka, ale charakter, odwaga i wytrwałość dzielnego człowieka morza. Powiedziałaby również, że zna największe marzenie swojej pani: samotny rejs dookoła świata.

MARIA KALINOWSKA

Rys. J. Rocki

*) Żeglowanie jest rzeczą konieczną.

PIĘCIOLETNI GENIUSZ SZACHOWY

Ameryka ma swoje nowe bożyszcze. Jest nim 5-letni Robert Le Donne, niepospolity talent szachowy, którym opiekują się najwybitniejsi arcymistrzowie Nowojorskiego Klubu Szachowego. Robert objawił swe talenty ostatniego lata, obserwując w telewizji „mecz stulecia" między Spasskim i Fischerem.

Na zdjęciu 5-letni geniusz wykonuje kolejny ruch, którym zaskoczy znawców strategii szachowej. W tle Fischer i Spasski podczas meczu w Reykjaviku. Foto: CAF

KAMIENNE KSIĘGI dr. CABRERO

W centrum peruwiańskiego miasta Ici, na Plaza de Armas, istnieje muzeum założone przez lekarza, kierownika katedry biologii tamtejszego uniwersytetu, Ksawiera Cabrero. W trzech pokojach, w których przedtem prowadził praktykę prywatną, przechowuje się tysiące kamieni z rysunkami, wyobrażającymi prehistoryczny okres w życiu człowieka.

Zaczęło się wszystko od prezentu, który Cabrero otrzymał

kilka lat temu od miejscowego fotografa. Podarował on lekarzowi kamień, na którym cieniutkim rylcem nieznanego artysty zrobiony był rysunek dziwnego zwierzęcia. Fotograf uważał, że kamień nada się na przycisk do papierów. Cabrero zaś był zafrapowany rysunkiem. Gdy dowiedział się, że podobne kamienie mają niektórzy mieszkańcy Ici i Limy, w lekarzu obudziła się namiętność archeologa-kolekcjonera i postanowił zdobyć je do swoich zbiorów. Za własne pieniądze rozpoczął wykopki w pobliżu Ici, gdzie znalazł wielką ilość takich kamieni. Doszedł do wniosku, że są to „księgi" znalezionej przez niego „biblioteki wieku kamiennego".

Księgi te, czyli kamienie o średnicy od 5 cm do 1 m, posiadają rysunki, które jak twierdzi Cabrero, można łatwo zgrupować tematycznie. Wymarłe zwierzęta, świat roślinny, postacie ludzkie, przedmioty codziennego użytku. Na dużych kamieniach wyryte są całe sceny na ten czy inny temat. Na mniejszych — oddzielne szczegóły z ogólnych obrazów. Zdumiewająca jest dokładność kopii powtarzających się rysunków.

Na jednym z kamieni jest prawie doskonały rysunek północnego jelenia. Na drugim — rosyjski niedźwiedź. Tak nazywa Cabrero zwierzę, które rzeczywiście podobne jest do rosyjskiego niedźwiedzia. Skąd się wziął w Ici, w gorącym klimacie Południowej Ameryki?

W oparciu o te „kamienne księgi" Cabrero wysuwa szereg hipotez. Jest przekonany, że potwierdzają one istniejące już teorie mówiące, że niegdyś wszystkie kontynenty stanowiły jedną całość i nie były rozdzielone morzami i oceanami.

W tej dziedzinie istnieją dwie teorie. Pierwsza przypomina, że kontynent amerykański był początkowo zasiedlony plemionami, które albo przyszły pieszo z Azji do Ameryki Północnej, gdy nie były rozdzielone cieśniną Beringa, albo tez przedostały się drogą morską z Polinezji i Oceanii. Druga zaś udowadnia powstanie człowieka na samym kontynencie amerykańskim.

Peruwianski lekarz w oparciu o swe „kamienne księgi" wysuwa nową teorię, jakoby kolebką pierwotnego człowieka na kontynencie amerykańskim był rejon obecnej Ici. Cabrero ma niemało oponentów, którzy poddają w wątpliwość, jakoby jego „kamienne księgi" były rzeczywiście stworzone w zaraniu istnienia ludzkości. Niedawno zwrócił się on do poselstwa radzieckiego w Limie z prośbą o przesłanie kilku egzemplarzy kamieni do Akademi Nauk ZSRR, żeby drogą najnowszych metod badania radzieccy naukowcy dokładnie określili okres, w którym zostały wykonane te rysunki. Czy potwierdzą one hipotezę doktora Cebrero? (jk)

Spróbuj Rozwiązać

Zadanie polega na odgadnięciu wyrazów pomocniczych o poniższych znaczeniach i wpisaniu ich na miejsce liczb, znajdujących się przy każdym z nich, przy czym należy pamiętać, że takim samym liczbom odpowiadają takie same litery. Następnie na miejsce liczb widocznych w diagramach podstawić odpowiadające im litery (z odgadniętych wyrazów pomocniczych) i rzędami poziomymi odczytać rozwiązanie. Ciekawostką tego zadania jest to, że rozwiązania obydwóch diagramów są identyczne oraz że zadanie można rozwiązywać na różne sposoby, a mianowicie:

a) można rozwiązać tylko górny diagram,

b) można rozwiązać tylko dolny diagram,

c) w razie trudności w rozwiązywaniu można wykorzystać obydwa diagramy,

d) można z koleżanką lub kolegą rozegrać mecz, kto szybciej rozwiąże jeden z diagramów (ustalony uprzednio przez losowanie).

Znaczenie wyrazów pomocniczych (1)

Powiatowa instancja ZHP = 20—15—19—18—6—17.
Najwyższy szczyt Sudetów = 22—8—18—6—24—13—12.
Przybycie „na kółkach" = 1—2—7—10—21—25—12—16—12.
Lewy dopływ Martwej Wisły = 11—10—9—12—8.
Krótkie hasło reklamowe = 14—3—4—5—12—3—23.

*	12	5	17	13	12	23	6	2	*	4	3	17	4	*	24
20	17	4	23	10	25	7	*	12	21	12	18	16	22	*	7
10	13	18	8	11	6	21	4	3	17	*	7	18	13	21	14
4	3	14	16	*	20	17	4	16	10	7	*	3	18	*	18
2	6	19	*	6	18	14	12	3	17	*	16	*	15	14	13
12	11	6	2	*	10	9	6	8	7	6	5	4	3	2	1

BLIŹNIĘTA

1	2	3	4	5	6	7	8	6	9	10	*	2	6	11	12
13	14	15	*	16	*	17	3	12	14	18	6	*	19	6	2
18	18	*	3	18	7	10	16	4	17	20	*	16	14	3	4
14	21	13	18	7	*	17	3	4	21	6	11	8	18	13	10
7	*	22	16	18	12	21	12	*	7	25	10	23	4	17	20
*	24	4	17	3	4	*	2	6	23	12	13	17	5	12	*

Znaczenie wyrazów pomocniczych (2)

Nosi granatowy sznur w ZHP = 14—5—12.
Łyżwiarskie boisko = 22—11—18—23—2—15—24—4—8—10—16—4.
Najmłodsi w ZHP = 3—15—17—3—9—12—16—13—12.
Narzędzie do majsterkowania = 20—4.
Zawód, fach = 1—2—10—19—6—7—25—10—21—6—13.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na pocztówce: „Bliźnięta świąteczne". Do rozlosowania: BONY KSIĄŻKOWE.

ROZWIĄZANIE ZADANIA NR 84 (2180)

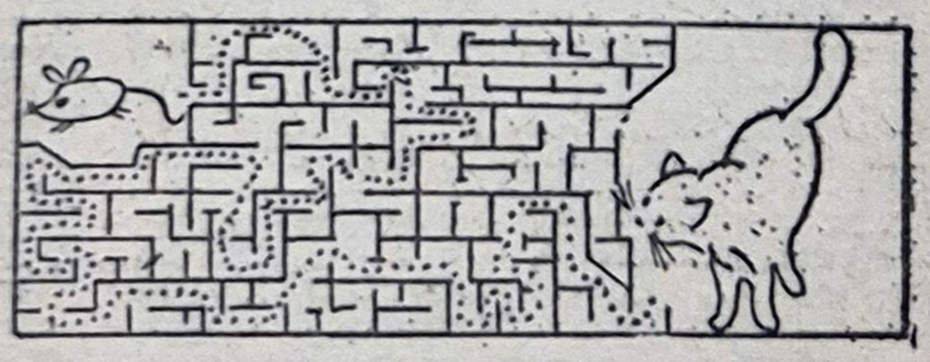

Labirynt: na rysunku.

Za dobre rozwiązanie bony książkowe otrzymują: 1) Wiesława Chmielewska — Otwock, 2) Agata Kliniuk — Chotomów, 3) Ryszard Kowalewski — Gdynia, 4) Krzysztof Kurkowski — Pruszków, 5) Wiesław Kraszka — Orneta, 6) Mariusz Smok — Zabrze, 7) Dariusz Watburg — Szczecin, 8) Piotr Wiazłowski — Piasniki, 9) Konrad Zbrożek — Józefów k/Otwocka, 10) Małgorzata Zberyt — Piszczas.

ROZWIĄZANIE ZADANIA NR 88 (2184)

Krzyżówka. Poziomo: polo, wikt, Samojłowa, mandolina, szklarnia, Barcelona, król, kosz. Pionowo: pasym, oko, wał, trasa, minikar, okienko, osa, sobek, apacz, cel, lek.

Za dobre rozwiązanie bony książkowe wylosowali:
1) Jacek Czajkowski — Warszawa, 2) Zofia Goździk — Łódź, 3) Krzysztof Gradzik — Ząbkowice, pow. Będzin, 4) Eugenia Rejuk — Białystok, 5) Mariusz Kosik — Płock, 6) Marek Kuźniak — Leszno Wlkp., 7) Dariusz Kowalczyk — Szczecin, 8) Witold Modus — Paczków, 9) Władysław Nowak — Czarnków, 10) Marian Stasiuk — Hrubieszów.

ZAGRAJMY w WARI

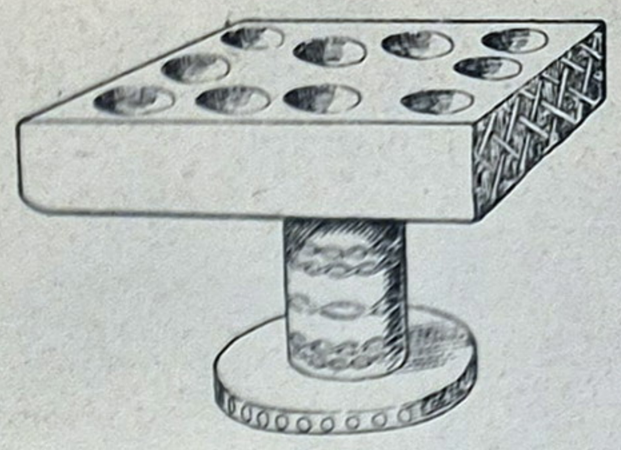

Typowa plansza do afrykańskiej gry wari

Jest wielka rodzina gier, w które grają niemal wszystkie ludy murzyńskie w Afryce. Gry z tej rodziny wszystkie do siebie podobne i na podobnych zasadach oparte, mają setki odmian i setki różnych nazw, trudnych do przetłumaczenia. Najlepiej chyba, mówiąc o jednej z takich gier, używać nazwy, która najczęściej powtarza się w wielu dialektach i językach murzyńskich: wari.

Rys. 1 Plansza przed rozpoczęciem gry.

PLANSZA I PIONY

Murzyni grywają w wari z wielką ochotą i w bardzo różnych warunkach. Czasami jako planszy do gry używają ozdobnie wykonanych, specjalnie w szlachetnych gatunkach drzewa drążonych rzeźb, pionami zaś są szlachetne kamienie, kiedy indziej jako plansza wystarczają dołki odpowiednio wygrzebane w piasku, za piony zaś służą orzechy lub muszelki.

Można więc u nas grać w wari rysując planszę na kawałku papieru, można też samemu zmajsterkować przyrząd do gry z drzewa lub sklejki, ze starych puszek metalowych lub plastykowych opakowań.

Pionami do gry mogą być ziarna dużej fasoli, szklane kulki, barwne kamyki, jakiekolwiek drobne przedmioty. Wszystkich pionów trzeba do gry 48; są one jednakowe w wyglądzie i kolorze.

Schemat planszy do gry przedstawia rys. 1. Składa się ona z czternastu pojemników na piony. Oznaczeń liczbowych nie ma na planszy, posłużą one tylko do objaśnienia zasad gry. Dwa największe pojemniki boczne nie biorą właściwie udziału w grze, są to tylko magazyny do przechowywania pionów zdobytych przez graczy w trakcie rozgrywki. Może tych pojemników wcale nie być — wówczas zdobyte piony gracze będą po prostu odkładali na bok. Do rozgrywki niezbędnych jest zatem 12 pojemników, rozmieszczonych po 6 w dwu rzędach — jak na schemacie. Przed rozpoczęciem gry do każdego pojemnika wkłada się po 4 piony.

Inny wariant wari — plansza jest kwadratowa.

ZASADY GRY

1. Grą dwu uczestników. O rozpoczęciu gry decyduje losowanie. Każdy gracz dysponuje sześcioma pojemnikami i wszystkimi zawartymi w nich pionami. Ruchy wykonują na przemian.

2. Każdy z graczy w przypadającej na niego kolejce wyjmuje z dowolnego **swojego** pojemnika wszystkie piony i wkłada **zawsze po jednym** do kolejnych pojemników własnych i przeciwnika **w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówki zegara.**

3. Pojemnik własny, który został opróżniony, do końca ruchu (ale nie końca gry) pozostaje pusty, czyli pomijam go, jeśli przy rozsiewaniu pionów dotrę do niego ponownie w tym samym okrążeniu. Do innych pojemników, nawet jeżeli są puste, wkładam piony.

4. Jeżeli końcowy ruch wypada po stronie przeciwnika, a w pojemniku, do którego wkładam **ostatni pion,** znajduje się **razem z nim 2 albo 3 piony,** to zabieram je i umieszczam w swoim magazynie. Jest to moja zdobycz. Zabieram również piony **ze wszystkich bezpośrednio sąsiadujących z obu stron** pojemników, ale tylko wtedy, gdy są w nich również po 2 albo 3 piony.

5. Jeżeli po stronie przeciwnika wszystkie pojemniki są puste, a ja wykonuję ruch, wybieram ruch taki, żeby w jego wyniku po stronie przeciwnika znalazł się przynajmniej 1 pion i umożliwił przeciwnikowi wykonanie następnego ruchu. Jest to bardzo szlachetny moment gry, dający przeciwnikowi szansę dalszej rozgrywki.

6. Rozgrywka kończy się, gdy wszystkie piony są zdobyte i znajdują się w magazynach graczy. Zdarza się to rzadko w wyniku ostatniego ruchu któregoś z graczy. Zazwyczaj pozostaje po stronie jednego z graczy kilka pionów, a kolejność wykonania ruchu wypada na drugiego gracza, który nie ma już pionów, nie może więc wykonać ruchu. Wówczas wszystkie pozostałe na planszy piony stają się własnością tego gracza, po którego stronie leżą.

7. Jeżeli grającym pozostanie po 1 albo po 2 piony i będą one rozłożone tak, że jeden gracz nie będzie mógł dogonić drugiego, to po trzykrotnym przejściu na stronę przeciwnika następuje koniec gry i gracze zabierają piony ze swej strony planszy.

8. Wygrywa ten, kto zdobył najwięcej pionów. Remis zdarza się rzadko. Jeżeli gra się więcej niż jedną partię, można się umówić, że o końcowej wygranej decydować będzie nie liczba wygranych partii, ale łączna suma pionów zdobytych przez graczy we wszystkich partiach.

PRZYKŁAD ROZGRYWKI

Gracz pierwszy (A) ma pojemniki 1-6, a gracz drugi (B) — pojemniki I—VI.

Gracz A ma we wszystkich pojemnikach 28 pionów, a w magazynie zdobyte 2.

Gracz B ma w pojemnikach 14 pionów, a zdobył 4 (patrz rysunek 2.)

Kolejność wykonania ruchu przypada na gracza A.

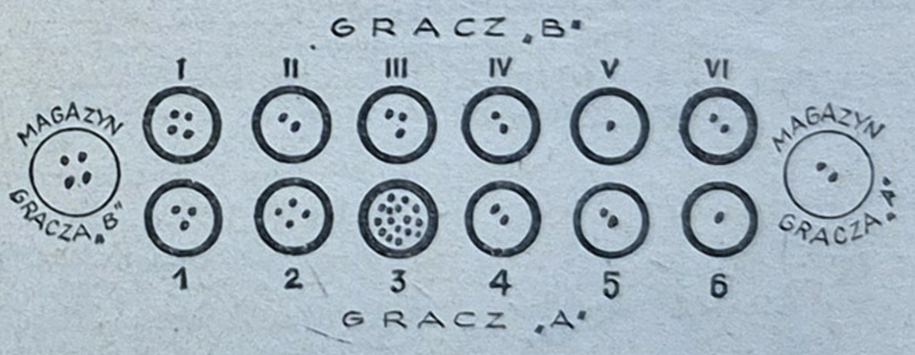

Rys. 2 Plansza w trakcie rozgrywki.

Powziął on decyzję, że wykona ruch z pojemnika 3, gdzie zgromadziło się 16 pionów. Wyjmuje je i umieszcza kolejno w pojemnikach 4, 5, 6, a następnie w pojemnikach przeciwnika VI, V, IV, III, II, I, przechodzi na swoją stronę i wkłada piony do pojemników 1 i 2, omija pusty pojemnik 3, rozkłada pozostałe 5 pionów do pojemników 4, 5, 6, VI, V. Kończy więc rundę na pojemniku V, w którym znajdują się teraz 3 piony. Zabiera je do swego magazynu jako zdobycz. W sąsiednim pojemniku (VI) są 4 piony, z nimi więc nie dzieje się nic, ale w sąsiednim pojemniku z drugiej strony (IV) znajdują się również 3 piony. I te zdobywa gracz A (łącznie zdobył 6 pionów). Gdyby w następnym sąsiednim pojemniku (III) były dwa albo 3 piony, a nie 4, jak jest w rzeczywistości, i one byłyby zdobyczą gracza A. Wprawdzie w następnym pojemniku (II) są 3 piony, ale pozostają nie zdobyte, gdyż ciąg został przerwany przez pojemnik III. Jeżeli końcowy ruch rundy przypadnie na pojemnik pusty, albo zawierający łącznie z pionem dołożonym więcej niż 3 piony — zdobyczy nie ma.

Teraz do wykonywania ruchu przystępuje gracz B.

STRATEGIA I TAKTYKA

Wari to gra logiczna i matematyczna, można w niej bardzo wiele przewidywać i planować, choć jest to z początku trudne — nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich zasad gry, niełatwo nawet tylko wyobrazić sobie, jak zakończy się jakiś ruch w grze. Dlatego też radzę wszystkim, którzy chcą zgłębić tajniki i tajemnice gry w wari, aby pierwsze kilka, a może kilkanaście partii potraktowali jako treningowe i rozegrali je szybko, nie myśląc zbyt wiele co też z kolejnych ruchów wyniknie. W ten sposób na pewno utrwalą sobie w pamięci zasady gry, przywykną do dziwnej planszy i różnych sytuacji w rozgrywce, przyzwyczają się trochę do jej egzotycznej formy i treści. Dopiero wtedy można skutecznie — i oczywiście koniecznie trzeba — myśleć w trakcie gry, kombinować, planować, przewidywać własne ataki i obronne możliwości przeciwnika. Dopiero wtedy gra w wari okaże się rzeczywiście pasjonująca i zaprzyjaźnimy się z nią na dłużej.

Życzę wszystkim ciekawej i dobrej zabawy.

LECH PIJANOWSKI

KONKURSY, DRAKI GRY I ZAWODY

OTO JEST ZIMA ZŁE ŚWIAT

Masz śnieg za oknem? Nie zwlekaj ani chwili!

A jeśli w dodatku śnieg jest świeży — możesz przez chwilę doznać dreszczyku emocji, stać się prawdziwym traperem z Alaski, postrachem drapieżników! Bo na śniegu będą ślady. Przede wszystkim zwierząt. Odczytasz je właśnie ty! A my ci pomożemy.

OTO JEST KLUCZ

Taki będzie odcisk wszystkich czterech łap kicającego zająca.

Kuropatwa zostawia ślad „łańcuszkowaty" i ma charakterystyczny odcisk pojedynczej łapki.

Ten ślad pozostawiła na śniegu wiewiórka.

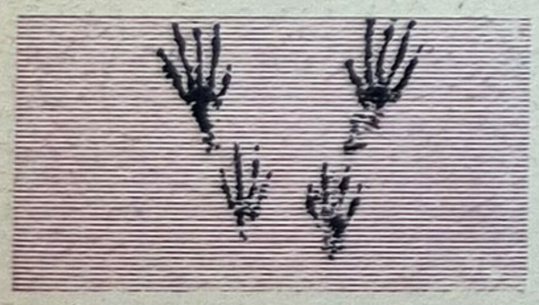

Zapamiętajcie ten ślad. To odcisk w śniegu przedniej łapy niewielkiego psa. Będzie to nam potrzebne do następnej propozycji.

NIE ZNASZ SWOJEGO PSA!

A w każdym razie prawie wcale nie wiesz jak chodzi i biega. Z kolegami możecie więc zrobić świetną próbę na śniegu. A więc porównajcie ślady psa, gdy:

- **idzie on swobodnie,**
- **biegnie „rysią" przywołany przez pana,**
- **pędzi susami za rzuconym kijem.**

Gdy zauważycie różnice, jeszcze łatwiej będzie wam czytać tropy na śniegu. Tylko uwaga: ślad łapy psa i lisa są bardzo podobne! Niewprawne oko prawie ich nie odróżnia. Uwaga więc na kurniki!

ŚLADY POD CHOINKĄ

Mam na myśli choinkę w lesie, którą wraz z paką kolegów i w porozumieniu z gajowym urządzicie dla zwierząt. Zabierzecie siano, „tłuste patyki" (sposób przygotowania — na „deszczowej" połowie tej strony), nasiona, sól. Zresztą gajowy podpowie najlepiej, co jakie zwierzęta lubią. To wszystko zawieziecie na sankach do lasu i umieścicie na i pod wybraną choinką. Przy was zwierzęta nie podejdą do karmy.

Jeśli śnieg nie zapada śladów, cudeńka zobaczycie pod choinką nazajutrz rankiem. Kto potrafi rozszyfrować tę plątaninę śladów? Bardzo interesowałyby i mnie, i innych waszych kolegów opisy takich śladów zwierzęcej uczty!

RAZ COŚ DZIWNEGO!

Czy w waszej okolicy nie zostały na zimę jakieś ptaki, które odlatują do ciepłych krajów? Może ktoś przygarnął bociana-kalekę spóźnionego z odlotem? Może do czyjegoś stogu siana na podwórzu przychodzą sarny? Może w waszej okolicy istnieją ciekawe wróżby ludowe dotyczące zwierząt i zimy. Wywiedzcie się, ruszcie na zwiady! Przeczytajcie tekst w ramce poniżej!

W izbie możemy się bawić choćby cały wieczór. Pomysłów na pewno nie zabraknie. Już starożytni Chińczycy wpadli na pomysł, by pokazywać teatrzyk cieni. My ich zakasujemy: wypuścimy na ścianę różne zwierzaki, ba, cały...

ZWIERZYNIEC

Wystarczą dwie ręce (byle nie obie lewe!) a może czasem jedna, by wywołać na dobrze oświetlonej ścianie sylwetki zwierząt.

Oto kogut — może otwierać i zamykać dziób.

Owca — będzie beczeć i ruszać głową.

Zając — przebiera nogami i trzęsą mu się uszy.

Koza — trzęsie brodą i kiwa głową.

Wiewiórka — myje sobie łapkami pyszczek.

A kto potrafi „wycieniować" KROKODYLA, ŻYRAFĘ, SŁONIA, NOSOROŻCA, NIETOPERZA?

Jeśli w dodatku zwierzaki te zagadają dowcipnie w wieczór wigilijny ludzkim głosem — zabawa może być nieprawdopodobna! Szczególnie nastrojowo wygląda to przy świeczce. Może być choinkowa.

Jeśli śniegu nie ma ani na lekarstwo a na dworze odwilż lub plucha

BAR ZA SZYBĄ

Robi się to tak. Można przedziurawić skórkę od słoniny, szynki czy boczku z resztkami tłuszczu i zawiesić za oknem na gwoździu wbitym w futrynę.

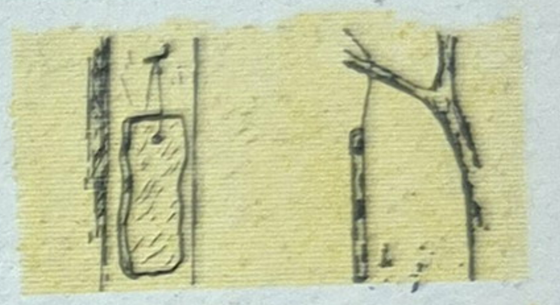

Albo kawałek patyka, w którym wydłubujemy nożem rowki. W te rowki wpychamy łój lub smalec zmieszany z makiem lub siemieniem lnianym. Patyki takie wieszamy za oknem, bądź na najbliższym krzewie czy drzewku.

Zobaczycie — takiego tłoku nie ma w żadnym barze mlecznym nawet gdy wycieczka przychodzi na śniadanie. Ptaki przylecą hurmem. Jakie? Ba, to przecież wy macie je rozpoznać!

CZY TWÓJ PIES LUBI JAZZ?

Bo niektóre psy lubią. Sprawdź więc jak twój Azor, Kleks lub Pucek odbiera różne rodzaje muzyki albo nawet melodie. Pies naszych znajomych przepadał za sygnałem audycji dla przedszkolaków: siedział przed odbiornikiem, kręcił łbem w takt muzyki i jakby się, bestia, uśmiechał. Wpadał natomiast w furię, gdy jego pan grał na skrzypcach.

Znamy psa, który usłyszawszy sygnał karetki pogotowia natychmiast kręci się za własnym ogonem.

A jak się zachowuje twój pies? Nie wiesz? Poobserwuj go, to może być ciekawe!

NAJDZIWNIEJSZE SĄ MUCHY!

No, bo kto mi powie, skąd się nagle biorą na wiosnę? Co się z nimi dzieje w zimie? Odlatują do ciepłych krajów? A nie ma ich przypadkiem u was? Dręczy mnie ten problem strasznie. Będę wdzięczny za autorytatywną, udokumentowaną odpowiedź.

JAN STYKOWSKI

UWAGA! UWAGA!

Oczywiście, że już otrzymaliśmy pierwsze korespondencje na „pierwszy feryjny błyskawiczny konkurs" naszej „Zimy". Dziś więc

DRUGI FERYJNY BŁYSKAWICZNY KONKURS:

Opiszcie — najwyżej na 1,5 strony z zeszytu — jak wykorzystaliście dzisiejsze nasze rady. Mile widziane również odpowiedzi na postawione dziś pytania. Piszcie pod adresem:

„Świat Młodych"
ul. Mokotowska 24
00561 WARSZAWA

Na kopercie koniecznie przykleić lub przerysować znaczek widoczny obok. Autorzy najlepszych prac otrzymają znaczki korespondenta „Świata Młodych". Zaś autor najbardziej autentycznej i „bombowej" pracy otrzyma specjalną nagrodę:

PSA RASY KUNDEL DOSKONAŁY!

SŁOWO HONORU

WOJCIECH WIŚNIEWSKI 2.

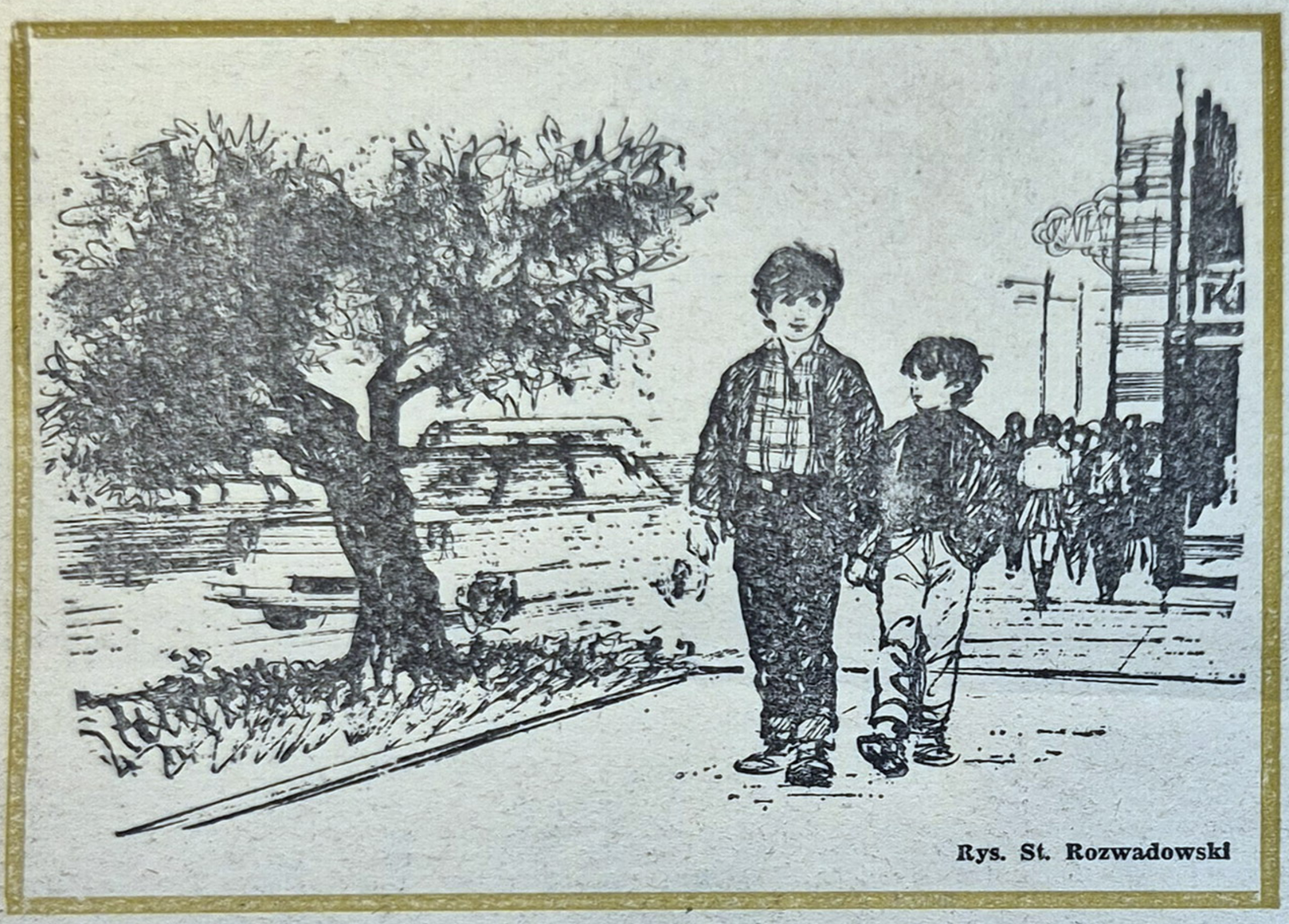

Rys. St. Rozwadowski

W domu ciągle czekaliśmy na ojca. Na listy od niego, telefony, no i na nasze największe rodzinne święto, kiedy przypływał na dwa, trzy dni, a potem znowu nie było go nieraz przez pół roku.

Mój ojciec był bardzo wesoły. Potrafił robić mamie różne kawały. Kiedyś zamknął się w szafie i udawał ducha. Kiedy schodził ze statku na dłużej, przychodzili do mnie koledzy, by obejrzeć kolorowe przezrocza i słuchać jak ojciec opowiada. Ach, jak on potrafił opowiadać! Nawet gdy parę razy powtarzał tę samą historię, zawsze umiał coś nowego zmyślić i za każdym razem było to ciekawsze.

Kiedyś, gdy statek stał w porcie, zorganizował dla młodzieży z naszej ulicy wycieczkę. Pokazał nam nie tylko swoją maszynownię, ale wszystkie pomieszczenia.

I wtedy właśnie zauważyłem Przepiórkę. Widywałem tę dziewczynkę już przedtem, ale dopiero na statku spojrzałem na nią inaczej. Okazało się, że dobrze mi się z nią gada. Wysmukła i chuda. Podobały mi się takie dziewczyny. Pasował do niej ten pseudonim. Była drobna i delikatna jak ptaszek. Miała jasne oczy i takie same włosy. Gdy je umyła, wyglądała ślicznie. Niestety, robiła to bardzo rzadko i przeważnie chodziła jakby trochę niepozbierana. Czasami nosiła okulary, które jeszcze dodawały jej uroku. Umiała też świetnie i bez zająknięcia przeklinać, choć nie pasowało to do jej urody. Bardzo mi się podobała, a właściwie zaczęła mi się podobać wtedy, na statku u ojca. Teraz, gdy spotykaliśmy się na podworku, chodziliśmy razem na spacer. Przechodząc przez jezdnię obejmowałem ją delikatnie ramieniem, bo bałem się, że może wpaść pod samochód. Szliśmy na swój ukochany most, pod którym pływały barki i stale coś się działo. Tam właśnie powiedziałem jej, że mi się z nią dobrze gada.

Tymczasem w domu niespodziewanie zaczęło się nasze największe rodzinne święto — ojciec zszedł na ląd! Statek skierowano do stoczni. Powinno więc być radośnie, wesoło. Ale wcale tak nie było. Rodzice zaczęli się trochę za często kłócić. Zdarzało im się to i przedtem, ale wtedy chodziło przeważnie o pieniądze. Mama uwielbiała kupować nieraz zupełnie niepotrzebne rzeczy.

— Ciekaw jestem co zrobisz z tą lampą? — spytał ojciec, gdy zauważył nowy nabytek mamy po powrocie z rejsu.

— Jak to co? Przecież nareszcie będzie można przy dobrym świetle czytać książki.

— Pierwszy raz słyszę, że przy pomarańczowym oświetleniu dobrze się czyta. Widocznie jakieś nowe odkrycie medyczno-techniczne — ojciec był złośliwy.

Włączyliśmy się z bratem do tej dyskusji i popieraliśmy mamę. Ojciec dodał jeszcze parę zupełnie niepotrzebnych złośliwych uwag, a mamie chyba naprawdę było przykro, bo powiedziała:

— Jeszcze dzisiaj sprzedam tę lampę. Ilu ludzi marzy, by mieć taką w domu...

Wtedy ojciec przeprosił mamę i zachwycał się lampą. I tak skończyła się jedna z naszych scen rodzinnych.

Ale teraz kłócili się o wszystko. O to, że koszule ojca są niewyprasowane i że Zbyszek jest za chudy. Pojawiły się problemy nie do rozwiązania. Zamykaliśmy się w naszym pokoju, ale i tu dochodziły ich głosy. Po prostu krzyczeli na siebie, coś sobie wypominali.

Pewnego dnia podczas wspólnego obiadu wyczułem, że rano musiała być jakaś większa awantura. Miałem zaraz po obiedzie zapytać o to Zbyszka, ale sam powiedział, jak znaleźliśmy się u siebie w pokoju.

— Krzyczeli tak głośno, że słychać było wszędzie. Ludzie na ulicy się oglądali.

— Trzeba było zamknąć okna — powiedziałem. — Po co wszyscy mają wiedzieć, co się u nas dzieje.

— Wiesz, że nie potrafię, zacinają się te automaty.

— To się naucz.

Zacząłem również krzyczeć. Przyczepiać się do Zbyszka nie wiadomo o co.

— Ile razy mówiłem ci, żebyś nie ruszał moich książek! Smarkacz! Gnojek zatracony!

Spodziewałem się, że rzuci się na mnie z pięściami, jak zwykle gdy nazywałem go smarkaczem. Nasze walki bokserskie kończyły się zawsze tak samo. Zbyszek, ten niewinny, pokrzywdzony i pobity przez wyrodnego starszego brata biegł zapłakany do mamy. Tym razem jednak nie zareagował i bez słowa zaczął sprzątać porozrzucane wszędzie książki. Nagle usłyszeliśmy podniesione głosy rodziców. Zamknąłem okno, chociaż było duszno i gorąco. Włączyłem radio prawie na cały regulator, a jednak słyszałem wyraźnie głosy ojca i mamy. O odrabianiu lekcji nie było mowy. Próbowałem czytać ciekawą historyczną książkę. Przerzucałem kartki, ale nic do mnie nie docierało. Jakbym zapomniał, jak się czyta. Postanowiłem wyjść na naszą ulicę, albo przejść się gdzieś z Przepiórką, ale żal mi było Zbyszka.

— Chcesz iść do kina?

Spojrzał na mnie zdziwiony i oczy mu się zaświeciły.

— No pewnie.

Patrzył na mnie uważnie i nie mógł zrozumieć, skąd nagle okazuję mu tyle miłości.

Nie poprosiłem nawet o pozwolenie rodziców, bałem się wejść do ich pokoju. Napisałem więc tylko kartkę: „Idę ze Zbyszkiem do kina. Wrócimy za dwie, trzy godziny".

Chciałem jeszcze dodać „Całujemy was mocno", ale jakoś mi to nie pasowało.

Przez tego mojego nieletniego, siedmioletniego brata nigdzie nie chcieli nas wpuścić. Dopiero na końcu miasta w jakiejś obskurnej sali wyświetlano film rysunkowy. Zbyszek i tak niewiele rozumiał i ciągle pytał, co się stało z głównym bohaterem — misiem Jogi.

— Patrz uważnie, to zrozumiesz o co chodzi. — A po chwili dodałem — trzeba myśleć.

A ponieważ misia Jogę właśnie chciano ukatrupić, więc uspokajałem go.

— Nie denerwuj się, bądź spokojny, wszystko dobrze się skończy.

Zastanawiałem się czy i u nas w domu wszystko dobrze się skończy. Coś się stało i na pewno nie chodziło już o pieniądze, czy też o niepotrzebnie kupioną lampę. Fakt, ojciec był przemęczony. Ten rejs, w którym ciągle coś nawalało, musiał go wykończyć. Ale on nigdy tak nie krzyczał...

C.d.n.

Sędziwa papuga

Papuga Żako przeżyła 900-dniową blokadę Leningradu przez hitlerowców i dotąd mieszka nad Newą u artystki Galiny Semniczenko. W latach wojny nierzadko jej pożywienie stanowił klej stolarski, a mimo to nie podupadła na zdrowiu ani na duchu. Po każdym kolejnym nalocie bombowym pokrzykiwała: „Nie trafili! Nie trafili!".

Z czasów wojny pozostało jej jedno przyzwyczajenie — jak dawniej lubi spać pod puchową pierzynką i woła: „Galinuszka — herbaty Żakuszce!". Żako przeżyła nie tylko blokadę Leningradu, 20 lat temu przyszło jej posiedzieć w piekarniku niezupełnie wystygłej kuchni. Została tam umieszczona przez rozsierdzonych włamywaczy, których przestraszyła swoim pohukiwaniem.

Niedawno szampanem wznoszono toast na cześć Żako — papuga skończyła bowiem pięćdziesiąt lat. (jk)

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039. Zam. 5126 A-60

Odcinek 9

Spadł śnieg. Nika czekała długa zima w ciemnej i smrodliwej sakli, wśród ludzi, którzy go nie rozumieli. Po ostatnim spotkaniu z Akielą tracił wiarę, że znajdzie tu sojuszników w walce z przesądami. Czauchia odnosił się do niego pogardliwie, jakby się wszystkiego domyślał.

ZEMSTA RODU KABUNAURI

wg powieści H. BOBIŃSKIEJ, oprac. B. TYLICKA, rys. JAN ROCKI

NAGRODY ŚWIĄTECZNE DLA KORESPONDENTÓW „ŚWIATA MŁODYCH"

Konkurs ogłoszony w numerze 88 „Świata Młodych", a dotyczący waszych opinii na temat drugiej strony gazety — jest już rozstrzygnięty! Omówienie wyników konkursu zamieścimy w jednym z numerów styczniowych, a dziś publikujemy tylko listę nagrodzonych. Nagrody oczywiście nadal pozostają tajemnicą! Ujawniamy tylko, że każda z nich posiada wartość 200 zł, a otrzymacie je w styczniu. Również w styczniu wyślemy nagrodzonym korespondentom znaczki przynależności do Ligi Korespondentów. A oto lista nagrodzonych: **Jadwiga Zagała** — Urbanowice, **Teresa Kuryłowicz** — Łódź; **Andrzej Smętek** — Golczowice; **Krystyna Wąsowicz** — Medyka; **Dariusz Fengier** — Poznań; **Jola Michej** — Janów Podl.; **Piotr Pilawski** — Gdańsk; **Elżbieta Szymala** — Pabianice; **Andrzej Ryszka** — Wapno; **Stanisław Michalkiewicz** — Wilno, ul. Żirmunu 88/52.

Komisja Konkursowa

NASTĘPNY NUMER „ŚWIATA MŁODYCH" ukaże się z datą 29 grudnia 1972 r. znajdziecie w nim między innymi KONKURS Z NAGRODAMI!

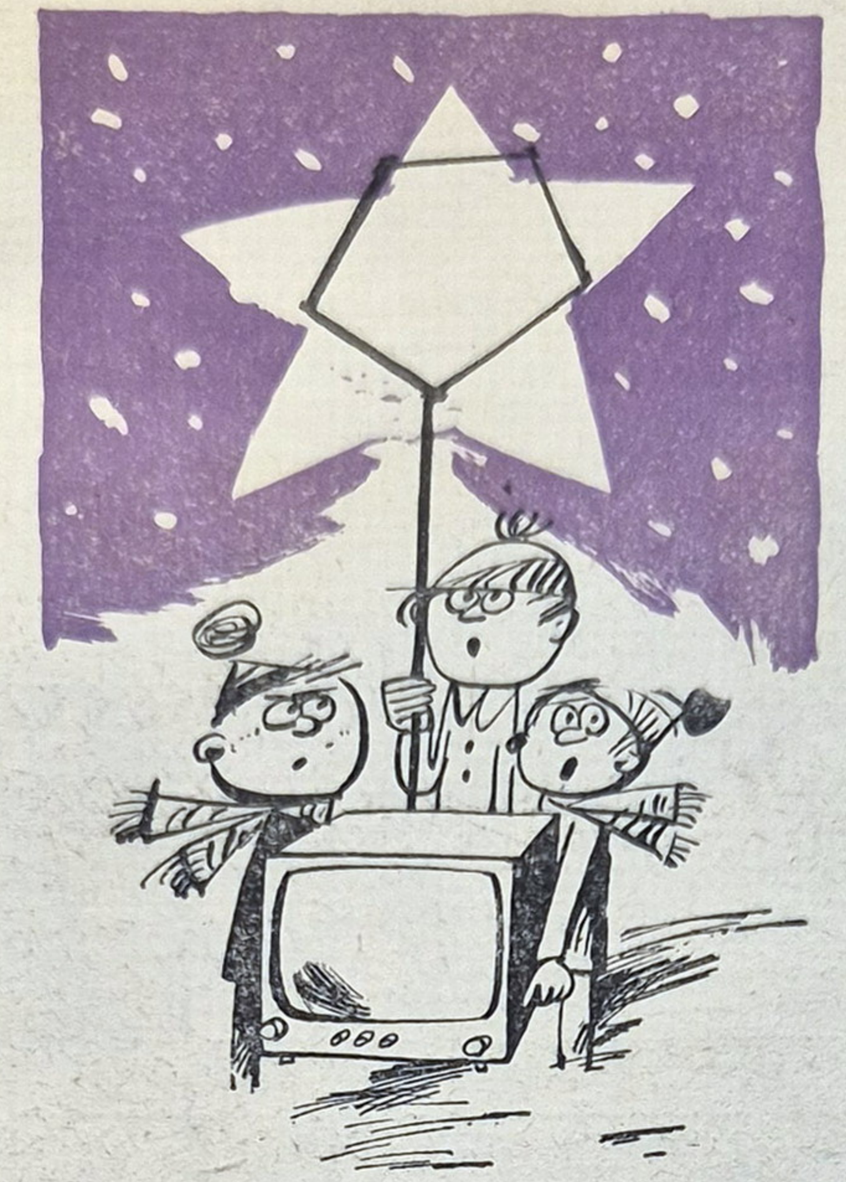

KOLĘDNICY NASZYCH CZASÓW.

Rys. Włodzimierz Lewiński

WYSZPERANE DLA RZEPA

— Twoje wypracowanie przypomina hiszpańską CORRIDĘ!
— Jak to, corridę?
— No, same byki!

Wyszperała Basia Wesołek

— Kowalski, jeśli umiera król, to kto rządzi wówczas królestwem?
— Królowa.
— Dobrze. A jeśli i królowa umrze?
— Walet.

Wyszperał Stasiek Kozłowski

— Wy jesteście bracia?
— Nie. Bliźnięta.

Wyszperał Józek Kochanowicz

— Synku, prawdziwy mężczyzna umie pokonać wszelkie trudności...
— A czy tato kiedy próbował włożyć z powrotem do tubki wyciśniętą pastę do zębów?

Wyszperał Józek Kochanowicz

— Czy mógłby pan potrząsnąć głową, bo mi się gdzieś zapodziały nożyczki...

Wyszperał Konrad Mocko

— Dlaczego w tej buteice zamiast szampana jest atrament?
— Bo to jest statek szkolny!

Wyszperała K.B

Nagrodę „SZPERACZA TYGODNIA" otrzymuje Stasiek Kozłowski

Redaguje WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

CZEŚĆ!

Nareszcie święta! Mieszkamy teraz z Rzepinką na czubku redakcyjnej choinki, w pozłacanym koszyczku. Dokoła mnóstwo słodyczy, nastrój byłby wspaniały, gdyby nie to, że w Tytusie de ZOO na widok drzewka wzięły górę małpie instynkty i teraz wszystko trzęsie się od jego zwariowanych skoków. Odbyło się uroczyste wręczanie prezentów. Mikołajem był Naczelny Redaktor, a Panie Redaktorki Tylicka i Wielgoławska aniołkami. Oprócz kilku innych prezentów dostałem jeden najważniejszy, zupełnie nieoczekiwany, prześliczny podarunek od Kasi Sikorskiej, PSA! Kasia zrobiła go sama szydełkiem i wysłała do mnie jako prezent i m i e n i n o w y. W maju! Przesyłka zaginęła w tajemniczy sposób i w jeszcze bardziej tajemniczych okolicznościach odnalazła się akurat teraz. Kasiu, dziękuję! Piesek jest śliczny.

„Jesteś, RZEPIE w wielu słowach, ale ja znalazłam Twoje imię z prawdziwą radością w słowie: PRZEPRASZAM. Wszyscy, co Cię lubią powinni często tym słówkiem się posługiwać"...

Tak napisała do mnie Ania Słupczyńska z Krakowa. Ja też tak uważam i apel Ani popieram!

PALINDROMOLOGIA

Uwaga, zbieracze palindromów (takich słów lub zdań, które dają się czytać w obydwie strony). Oto kolejna porcja palindromologicznych rarytasów przysłana przez Krzyśka Dzyruka:

A NINA Z ANINA
I KARMIĘ IM RAKI
NAKRAPIANA I PARKAN
JAKO TOKAJ
ŻAL PLAŻ
METRAŻ ŻARTEM

Prócz tego Krzysiek pobił rekord w wynajdywaniu mego imienia w różnych wyrazach: STO SZTUK! No, no...

Rysiek Głowienke przysłał mi słonia literkowego.

Kochani, Rzepinka i ja dziękujemy bardzo wszystkim za noworoczne życzenia i życzymy wam uśmiechu przez cały następny rok.

Pa...

Wasz RZEP